tygodnik społeczno-kulturalny

odgłosy

Łódź

NR 18 (1117) ROK XXII 6 MAJA 1979 R. CENA 3 zł

TADEUSZ CHRÓŚCIELEWSKI

KONCERT NA CZTERY RĘCE

Pamięci autorów „Testamentu mojego" i „Karmazynowego poematu"

Gdy spotka się historia z mesjanistycznością,
Wrócą i zabłąkani o sto mil od brzegu,
Za bocianami dążą żołnierze w szeregu
I kości, by w próchnicy zejść się z bratnią kością...
Tę Najbielszą powitał salut kanonierek,
Za czym Polska wzdłuż Wisły — za czerepem czerep
I w świeżych złotych pasach anioł przy aniele...
I jak dzieci płakały organy w kościele,
Jako że Dnia Trzeciego Pan tęsknych oraczów
Stworzył z ręką na szabli, a okiem do płaczu...
Pamiętam dzieckiem: płacze tłum, drży Wisła siwa,
Od Bielan płynie statek srebrny jak Leliwa,
Zaś na statku katafalk: Kość się w górze jarzy
W amarantach. Poeci dwaj z boku na straży
W postawie „baczność" płacza mimo wieku przedział.
Na młodopolaninie siwy mundur śniedział,
Skamandryta miał monokl i kwiat w butonierce...
I nie sparzone jeszcze aloesem serce.
Eskortują, by oddać kolumnowym czołom
Kość, co odtąd być miała łagodna jak gołąb,
Iż jej Siła Fatalna była zbędna czasom,
Gdy już pożar nie groził ni różom, ni lasom...
Zdjęto warty, przejęły straż marmurów czoła
I korony świecące niczym rad w popiołach.
Mknął czas, mknął Orient-Express. Żegnała Kanonia
Or-Ota. Zmilkł wśród Franków klawikord Lechonia.
Czas wszedł prosto w płomienie roku pamiętnego.
Plutony „Spij, kolego" nuciły kolegom...
Wtedy się Her Armeńczyk zbudził znów na stosie
I Lechoń — choć w Paryżu — na Grochowskiej szosie
Stał w rogatkach, gdzie ślepiec „Warszawiankę" grywał...
Aż jak wódz, co dwie twarze miał, choć jedna żywa,
Spotkali się astralnie... tam, przy klawikordzie
Czarnym. Jak kanonierzy stanęli przy loncie.
Wypruwszy spod klawiszów czerwień i grom, kości
Splótłszy z dłońmi poczęli grać na cztery ręce,
Precz przegnawszy z wiolinu płacz, chorał, słabości
Raz po raz niby salwą biją strasznym scherzem:
Kość w bas tłucze, kamienie swym rozkazem — graniem...
Ach nie! — kolegów moich rzucała na szaniec!
A Ręka, choć w Paryżu i drętwa, w jej ślady
Śmierć i miłość zarówno szle na barykady...
Nie chronią — śmierć miłości ani śmierci miłość —
Do Nik dawnych warszawskie dziewczę dołączyło.

Czas mknie. Znów wnuczka pyta: Co jest rzeczą główną?
Śmierć i miłość dla kraju — obydwie zarówno.
I nie drwij z grywających na pianinach kości,
Wierzących desygnatom słów, gramatyczności
Dziejów.
1979

Foto: Archiwum

W NUMERZE:

Zbrodnia w Radogoszczu

Późną jesienią 1939 roku hitlerowskie władze okupowanej Łodzi zainteresowały się bawełnianą fabryką Samuela Abbego. Ustawiono wieżyczki strażnicze, podwyższono mury, pojawiły się druty kolczaste. Tak u zbiegu ulic Zgierskiej i Sowińskiego, w północnej dzielnicy miasta, powstało „poszerzone więzienie policyjne Radogoszcz".

Między wojną a pokojem

Skądś wypadła gromada jeńców amerykańskich.

— Hallo, general!

Wypchnęli przed siebie jednego z siwymi zaporożskimi wąsami i z naszywkami kaprala na wypłowiałej kurtce.

— Hallo, wasza wysokość — nieśmiało wymamrotał amerykański Ukrainiec.

— Witaj, bratku!

Pogładził kaprala po siwiejącym czubie. Tamten oglądał furażerkę z kokardą, obramowane srebrnym obszyciem pagony.

Fenomen mazowieckiej równiny

„Kto widział własnymi oczami pożar fabryk żyrardowskich fatalnej nocy lipcowej 1915 roku — pisał później Paweł Hulka-Laskowski — temu wierzyć się nie chciało, że tak szybko można było odbudować tyle gmachów spalonych".

Symbioza

Jaka jest przyczyna konfliktów powstających między projektantami a wykonawcami? W pewnym uproszczeniu można by powiedzieć, że w spotkaniu projektant — wykonawca ten pierwszy patrzy na sprawę na ogół od strony klienta; jego jedynym celem jest, aby rzecz, którą projektuje, była nowoczesna, jak najlepiej skonstruowana i... zgodnie z projektem zrealizowana. Producent (wykonawca) natomiast walczy przede wszystkim o zmniejszenie ewentualnych kłopotów wykonawczych i zaopatrzeniowych chce ten projekt zrealizować możliwie szybko i możliwie małym kosztem.

Chleb nasz

Bo my, na ogół, na chleb narzekamy:

— że najczęściej jest nieświeży,

— że źle wypieczony, bo skórka w nim odstaje, albo trudno go krajać,

— że kruszy się przy krajaniu,

— że jest niesmaczny,

— że jest gliniasty,

— że w sklepie, gdzie akurat kupujemy, jest mały wybór.

POZA TYM:

„Załącznik"

Poezja młodych

Aktualności

W. KARDIN

MIĘDZY WOJNĄ A POKOJEM

W Związku Radzieckim ukazała się książka poświęcona Karolowi Świerczewskiemu pt. „Jak długo trwają półwiecza?", napisana przez W. Kardina. Rozpoczynamy druk fragmentów tej książki rozdziałem mówiącym o rozgromieniu grupy wojsk niemieckich, dowodzonych przez gen. Schörnera przez II Armię Wojska Polskiego, na czele której stał Karol Świerczewski.

Dalszy ciąg na str. 3

GICGIER TADEUSZ

JAK JA KIEDYŚ Z WOJNY WRÓCĘ...

Najstarszy wnuk, Zbyszek, liczy sobie 9 lat. Ubrany jest w dres sportowy, ciągnie nosem, ręce ma czerwone. Zajrzał na chwilę do domu, kręci się niespokojnie, widać, że chce wrócić do kolegów.

Kiedy nauczył się tej żołnierskiej piosenki? O, bardzo dawno, jakieś pięć lat temu. Mieszkali jeszcze wtedy z dziadkami w starym domu, skleconym z poniemieckiego baraku. Zimno w nim było, więc przesiadywali najczęściej przy piecu. Któregoś wieczora poprosili dziadka, żeby im coś zaśpiewał. Spodobała mu się ta piosenka, więc ją zapamiętał. Czy może zaśpiewać? Ano, może. Wciąga powietrze, łapie oddech. Zaczyna:

Dalszy ciąg na str. 4

KOBIETA JEST KOBIETĄ

Tydzień Krytyki Filmowej, wprowadzona od dwóch lat impreza komplementarna wobec Konfrontacji ma za zadanie uwolnić je od serwitutów intelektualnych ambicji, z którymi w ostatnich latach w tym filmowym maratonie było coraz gorzej. Konfrontacje przestały już pełnić szlachetne zadanie prezentacji kina artystycznego ostatniego sezonu i w miarę rozszerzania swego zasięgu poczynały przemieniać się w paradę przebojów filmowej konfekcji. Ten manewr programowy spowodował naturalną potrzebę poznawczą zwróconą ku filmom, o których nie tylko się mówi, ale także pisze. Tydzień Krytyki Filmowej jest inicjatywą recenzentów, którzy znajdując coraz mniej powodów do pisania o filmach z konfrontacyjnej puli pragnęli zachować możliwość lansowania utworów, które decydują o poziomie filmowej kultury. Formuła Konfrontacji stawała się coraz bardziej eklektyczna, bowiem gromadziła pod swoim szyldem filmy przypadkowe, które nie składały się na spójny i problemowy obraz zjawisk i tendencji charakterystycznych dla rozwoju kinematografii światowej.

Zaproponowany w tegorocznym Tygodniu zestaw zdaje się trafiać w sedno oryginalnego tematycznego trendu, który od kilku lat narasta, wydając filmy ciekawe i wartościowe. Chodzi o kino poświęcone sytuacji kobiety w dzisiejszych czasach. Warto zauważyć, że jest to już druga fala feministyczna, która przepływa przez ekrany różnych ustrojów i różnych szerokości geograficznych. Pierwsza filmowa batalia emancypacyjna rozegrała się na początku lat sześćdziesiątych, a jej żywymi wcieleniami stały się dwie gwiazdy filmowe: Brigitte Bardot i Monica Vitti. Ich postacie stały się znakami podwójnego wyzwolenia kobiety — obyczajowego i psychologicznego. Obie kreacje oznaczały przejście kobiety ze sfery przedmiotowej do podmiotowej. Do tego czasu obraz płci pięknej w filmie wahał się pomiędzy dwoma biegunami: kobiety — ofiary „złamanej lilii" i kobiety fatalnej, „błękitnego anioła". Łatwo zauważyć, że te dwie możliwości kobiecego istnienia były funkcją męskiego świata, projekcja jego potrzeb i wyobrażeń, natomiast brak im było personalnej autonomii. Przełom w interpretacji kobiecej tematyki przyniosła francuska Nowa Fala oraz dzieła subtelnych znawców sekretów damskiej duszy, Antonioniego i Bergmana. Właśnie w ich filmach pojawił się typ kobiety wrażliwej, cierpiącej, przeżywającej intensywnie złożone problemy egzystencjalne wyzutej z lirycznych złudzeń.

Drugie uderzenie kobiecego kina, które obecnie przeżywamy idzie w tym samym kierunku, artykułuje te same frustracje i neurozy co poprzednio, z tą tylko różnicą, że tym razem stawia bardziej wnikliwą diagnozę społeczną tego stanu rzeczy. Portret kobiety, który wyłania się z zadziwiającą konsekwencją z filmów zaprezentowanych w ramach Tygodnia jest bardzo przygnębiający. Bowiem wynika zeń, że jest ona istotą głęboko nieszczęśliwą, niezadowoloną z życia i z siebie, że emancypacja z takim trudem wywalczona ma gorzki smak, że ze zdobytą wolnością od męskiej dominacji nie bardzo wiadomo co począć.

Przyjrzyjmy się jednak bliżej tym filmom, których układ w ramach omawianej imprezy tworzył swoistą dramaturgię kobiecego losu.

Oto „Wesele" Robeta Altmana, film niezupełnie o kobietach, ponieważ jego twórca z niezrównaną zjadliwością ze wszystkich bohaterów robi idiotów. Altman nie tylko tytuł, ale również pomysł jakby pożyczył od Wyspiańskiego, bowiem film opiera się na identycznej, niezwykle nośnej poznawczo, problemowo i artystycznie sytuacji dramaturgicznej. Jest to dokonany w trybie mozaikowej narracji (znanej z poprzednich filmów tego reżysera) satyryczny opis weselnego przyjęcia na amerykańskiej prowincji. Altman pokazuje jak spod celebrowanego konwenansu, który za wszelką cenę pragnie odwzorować purytańską tradycję wyłazi żywioł życia. Reżyser jest bezlitosny w demaskowaniu płaskości ludzkiej fauny, która mrowi się w jego filmie. Z satyrycznego temperamentu przypomina Miłosa Formana, jednak u niego ludzie, choć nieskończenie śmieszni w swoich małostkowych przywarach są dobrzy, natomiast altmanowski populizm nie pozostawia żadnych humanistycznych złudzeń. W tym zdegradowanym duchowo świecie prym wiodą kobiety, one układają scenariusz uroczystości i one pilnują jego dokładnej — wbrew przeciwnościom losu — realizacji, one zakreślają horyzont życiowych aspiracji sprowadzony jedynie do konsumpcyjnego stylu życia, one są ostoją i osią tego świata.

Altman jest szydercą, jego ujęcie amerykańskiej mentalności ma rysy farsowe i groteskowe, natomiast wersję dramatyczną tegoż światopoglądu przyniósł film Johna Cassavetesa „Premiera". Utwór ten kontynuuje prawdziwy festiwal Cassavetesa, który powstał w tym sezonie. Po znakomitym „Zabójstwie chińskiego maklera" i rewelacyjnej „Kobiecie pod presją" (dziwię się nieracjonalnej polityce łódzkiego OPRF, które nie dyskontuje w szerszym rozpowszechnianiu tego filmu, tylko upycha go w peryferyjnych kinach a tymczasem jest to rzecz o dużych walorach kasowych, pełna psychologicznego napięcia i Petera Falka, telewizyjnego porucznika Colombo w jednej z głównych ról) „Premiera" uzupełnia znajomość oryginalnej twórczości tego reżysera.

„Premiera" dla dokładniejszego zrozumienia zawartej w tym filmie problematyki wymaga historycznego już komentarza na temat początków artystycznej działalności Cassavetesa.

Otóż był on u schyłku lat pięćdziesiątych założycielem szkoły aktorskiej w Nowym Jorku, którą prowadził wraz z Gene Rowlands, aktorką, która odtwarza główne role w jego ostatnich filmach, właśnie w „Kobiecie pod presją" i „Premierze". Szkoła ta była wzorowana w zakresie metody na słynnym Actor's Studio Lee Strassberga i Elii Kazana, z którego wyszły m. in. takie indywidualności aktorskie, amerykańskiego kina jak Marlon Brando, Montgomery Clift, James Dean i Marylin Monroe. Metoda propagowana przez Studio, a przejęta przez szkołę Cassavetesa polegała na kontynuacji realistycznego systemu gry Stanisławskiego, uzupełnionego psychoanalizą. Otóż na tym stylu teatru, a raczej na jego filozofii jest oparta „Premiera". Jest to filmowa wypowiedź na temat istoty teatru jako modelu rzeczywistości, reguł odbioru teatralnego spektaklu i — najważniejsze — psychologicznej kondycji profesji aktora teatralnego. Bohaterką filmu jest głośna gwiazda filmowa i teatralna, która pod wpływem śmiertelnego wypadku ulicznego, którego jest świadkiem popada w ostry kryzys psychiczny o cechach schizofrenicznych. W tym czasie gra w sztuce teatralnej rolę kobiety, która przeżywa załamanie z powodu odchodzącej młodości. Tematem filmu jest stopniowe utożsamienie w scenicznej kreacji prawdziwego dramatu osobistego życia aktorki z fikcyjnym dramatem odtwarzanej przez nią bohaterki. Psychiczny autentyk przesącza się na scenę, zmienia sceniczne sytuacje, tekst sztuki i jej wymowę. Publiczność nie zauważa tego procesu, rzeczywiste zachowanie aktorki, która w stanie ostrej depresji nerwowej już nie gra, lecz jest na scenie po prostu sobą odbiera jako jej wspaniałą kreację aktorską. Cassavetes posłużył się filmem jako wyjątkowo adekwatnym narzędziem analizy dialektyki życia i iluzji teatralnej, ukazał w sposób niezwykle dramatyczny psychiczną i moralną cenę odtwarzania życia w teatrze. Był to niewątpliwie najciekawszy film przeglądu i chciałoby się do niego powrócić, miejmy zatem nadzieję, że zostanie zakupiony do normalnego rozpowszechniania i los będzie dlań łaskawszy aniżeli dla „Kobiety pod presją", która jest jeszcze bardziej interesująca.

Amerykańska aktorka z „Premiery" jest rówieśnicą tytułowej bohaterki filmu „Dziwna kobieta", którego autorami są nestorzy radzieckiej kinematografii, scenarzysta Jewgienij Gabrylowicz i reżyser Julij Rajzman. Żenia, kobieta po trzydziestce, matka kilkunastoletniego syna ma sytuację życiową ustabilizowaną. Wykonuje zawód adwokata, jest zatem samodzielna, mąż dobrze zarabia na odpowiedzialnym stanowisku. Ale Żenia nie jest szczęśliwa. I nie dlatego, że — jak mawiają Rosjanie — „szczęście nie w pieniądzach, ale z ich ilości" lecz ze znacznie bardziej wzniosłego powodu: w jej życiu brak prawdziwej miłości. Nie chcąc dłużej żyć w uczuciowej hipokryzji porzuca męża i dom w poszukiwaniu idealnego, romantycznego uczucia. Życie nie szczędzi jej rozczarowań. Jej tęsknoty nie są na miarę naszej trzeźwej, zracjonalizowanej epoki. Odchodzi od kochanka o zbyt pragmatycznym podejściu do miłości. Kiedy napotka na kolejną szansę, tym razem naprawdę godną jej oczekiwań, świadomie z niej rezygnuje, wybiera dorastającego syna, któremu jest potrzebna. Film Rajzmana jest świadectwem przemian obyczajowych wywołanych kobiecą emancypacją, lecz jego konkluzja zawarta w ostatecznym wyborze bohaterki umiejscawia ten film w tradycji rosyjskiego ethosu, w której zawsze miarą wartości kobiety była jej zdolność do poświęceń.

Bohaterka filmu Rajzmana posiada swoją replikę w filmie austriackiego dramaturga, prozaika i poety Petera Handtke'go. W ubiegłym roku zadebiutował on jako reżyser filmowy filmem „Leworęczna kobieta". Jest to historia nieomal bliźniacza w wymowie do fabuły Gabrylowicza-Rajzmana. Z tą tylko różnicą, że świetnie sytuowana heroina w filmie Handtke'go porzuca męża nie po to aby związać się z innym mężczyzną uczuciem prawdziwym, lecz jest to akt samostanowienia, wyboru własnego losu w pełni niezależnego. W filmie łatwo doszukać się refleksów dramaturgii Handtke'go traktującej m. in. o niepewności i kruchości ludzkich związków, o sceptycznym stosunku do języka, który ma być jedynym gwarantem międzyludzkich więzi, a który w rzeczywistości jest instrumentem zniewolenia człowieka. Bohaterka filmu przeważnie milczy, dokonuje w pełni świadomej izolacji od otoczenia. Film w pomyśle interesujący, lecz mało wyrazisty problemowo, manieryczny i nużący.

Te defekty w pełni zrekompensował film francuski pt. „Życie przed sobą" oparty na głośnym bestsellerze sprzed kilku lat. Adaptacja wiernie podążała tropem oryginału, a reżyserowi (Moshe Mizrahi) udało się odtworzyć klimat psychologiczny i uczuciowy oryginału, do czego w decydujący sposób przyczyniła się odtwórczyni roli mamy Rozy Simon Signoret. Wybitna aktorka stworzyła kreację przejmującą najszlachetniejszymi uczuciami, które rodzą się na dnie ludzkiej nędzy i upodlenia. W galerii kobiecych portretów, jakim był przegląd Tygodnia Krytyki Filmowej Signoret w roli starej ekssprostytutki, która swoją gorzką i chorą starość poświęca wychowaniu bękartów podrzuconych jej przez młodsze koleżanki po profesji stworzyła postać najpełniejszą, głęboką psychologicznie, promieniującą moralnym pięknem. Prawdziwie kobiecą.

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

KRONIKA KULTURALNA

23 kwietnia br. w **Łódzkim Ośrodku Kształcenia Ideologicznego** odbyła się z inicjatywy instancji partyjnej narada aktywu politycznego i społecznego województwa, poświęcona ideowej i społecznej aktywizacji społeczeństwa — w związku z jubileuszowym rokiem **35-lecia PRL.** W obradach wziął udział m.in. zastępca kierownika Wydziału Kultury KC PZPR — **J. TRZCIŃSKI.** Obecni byli m.in. przedstawiciele łódzkiego aktywu partyjnego działającego w środowisku kultury.

•

W **Turynie**, we Włoszech, zakończyła się 22 kwietnia międzynarodowa wystawa pod hasłem **„Miasto i dziecko"**, zorganizowana pod patronatem **prezydenta Włoch i UNICEF.** Dużym powodzeniem wśród zwiedzających, dorosłych i dzieci, cieszyła się polska część wystawy, przygotowana przez **Wyższą Szkołę Sztuk Plastycznych w Łodzi.**

•

W Pałacu Młodzieży im. J. Tuwima w Łodzi odbyła się sesja popularnonaukowa na temat **„Dziecko łódzkie w 60-leciu niepodległości".** Jednocześnie otwarto ekspozycję obrazującą rozwój szkolnictwa, opieki nad dzieckiem i działalności organizacji młodzieżowych od roku 1918 do chwili obecnej. Uwzględniono również szereg zjawisk związanych z kulturą i sztuką dla dzieci i młodzieży.

•

W kinie **„Iwanowo"** zainaugurowano **IV Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim,** zorganizowane z okazji 34 rocznicy podpisania **Układu o Przyjaźni, Pomocy Wzajemnej i Współpracy** między **Polską a ZSRR.** Na otwarciu obecni byli przedstawiciele filmowców radzieckich. IV Wiosenne Spotkania z Filmem Radzieckim potrwają do 9 maja br.

•

Otwarto w Łodzi (jeden z nielicznych jeszcze w kraju) **Uniwersytet Trzeciego Wieku** dla osób w wieku emerytalnym lub przedemerytalnym. Wśród tematów wykładów w I semestrze działalności znaleźliśmy m.in. wykład doc. dr **Z. Bokszańskiego „Kultura współczesna w oczach socjologa".**

•

Znany już jest program tradycyjnego **„Jarmarku Łódzkiego"** organizowanego corocznie przez **„Dziennik Popularny".** Z imprez kulturalnych znalazło się w nim miejsce dla dedykowanych dzieciom występów łódzkich teatrów lalek oraz dla kiermaszy — staroci i „Sztuki dla każdego".

•

Do kolejnych zagranicznych wojaży przygotowuje się **reprezentacyjny zespół pieśni i tańca włókniarzy „Poltex" przy ZPB im. J. Marchlewskiego.** W maju zespół ten weźmie udział w obchodach **Dni Kultury Polskiej w Szegedzie (Węgry),** w czerwcu zaś — w **festiwalach folklorystycznych w Algierii i Tunezji.** Wcześniej jednak zespół występuje przed łódzką widownią: w akademii pierwszomajowej oraz w tradycyjnej **„Cepeliadzie".**

•

Na wystawę zatytułowaną **„Martyrologia łódzkich dzieci i młodzieży w latach okupacji"** otwartą z okazji Międzynarodowego Roku Dziecka i Miesiąca Pamięci Narodowej zaprasza do Muzeum na Radogoszczu — łódzkie **Muzeum Historii Ruchu Rewolucyjnego.**

•

O następne unikatowe egzemplarze monet powiększyły się ostatnio zbiory **Gabinetu Numizmatycznego łódzkiego Muzeum Archeologicznego i Etnograficznego.** Są nimi **tetradrachmy** — gocko-dackie monety z III—II wieku p.n.e. (z terenów obecnej Rumunii). Monet tych do tej pory nie posiadało żadne polskie muzeum. Zakupiono je z kolekcji prywatnej.

•

Łodzianie w konkursach: **we Wrocławiu,** na **I Ogólnopolskim Konkursie Aranżerów** jedną z dwu nagród II wyróżniono kierownika muzycznego łódzkiego **Teatru 77 — Juliusza Wacławskiego;** w **Krakowie** zaś — na **XVI Studenckim Festiwalu Piosenki** jedno z wyróżnień zdobył łódzki piosenkarz — **Zbigniew Bogdański.** Z kolei jedno z trzecich miejsc przypadło łodziance w **IX Olimpiadzie Literatury i Języka Polskiego,** której ogólnopolskie finały odbyły się niedawno w Warszawie. Była nią **Ewa Pryma z XXV LO.**

•

Konkursy, konkursy... W związku z planowanym na 1980 rok **III Młodzieżowym Festynem Filmowym Łódź 80,** jego organizatorzy ogłosili **konkurs na plakat** do tego festynu (termin zamknięcia konkursu: 12 maja br.). Z kolei **Poleski Zarząd Towarzystwa Przyjaciół Łodzi** wraz z **Ośrodkiem Badań i Dokumentacji Zabytków** ogłosiły **konkurs fotograficzny** Miejsc Pamięci Narodowej w dzielnicy Polesie (termin: 15 maja br.). Natomiast **Stowarzyszenie „Dom Środowisk Twórczych"** zapowiada na 10—11 czerwca **I Konkursowy Przegląd Indywidualnej Twórczości Aktorskiej.** Zgłoszenia — wraz z pełnym tekstem scenariusza występu (dopuszcza się: monodram, wieczór poezji bądź pieśni, ballad, a nawet recital piosenkarski) — przyjmuje Dział Organizacyjny DŚT do 15 maja.

•

Wyłoniono najlepszych młodych **waltornistów** — laureatów dorocznego konkursu dla studentów szkół muzycznych (w zakresie instrumentów dętych). I nagroda w tym odbywającym się tradycyjnie już w **Pabianicach** konkursie przypadła **Janoszowi Meszarosowi z Budapesztu.** Druga — jego koledze **Sandorowi Endrody.** Dwie równorzędne III nagrody zdobyli: **Joachim Nowak z Katowic i Małgorzata Adamek z Warszawy.**

•

Z nową premierą wystąpił łódzki **Teatr Nowy.** Jest nią prapremiera **„Vatzlava" Sławomira Mrożka.** Spektakl reżyserował **Kazimierz Dejmek,** scenografię przygotował — **Krzysztof Pankiewicz.**

•

W ubiegłym tygodniu dyrektor Łódzkiego Wydawnictwa Prasowego, Piotr Sagan, wręczył pracownikom naszej redakcji nagrody prezesa RSW „Prasa Książka Ruch". Otrzymali je: zastępca redaktora naczelnego, **Włodzimierz Stokowski** — za upowszechnianie problematyki naukowej i **Ryszard Binkowski** — za publicystykę rolną.

Nagrodzonym kolegom serdecznie gratulujemy.

PORY ROKU

CZARNA ZIEMIA

RYSZARD BINKOWSKI

Nad czarną, grząską, zbrylonąziemią wisi niskie, zaciągnięte ołowianymi chmurami niebo; pomiędzy kłębiastymi obłokami trafia się jaśniejsza wyrwa i spoza zamglonego błękitu przedziera się na chwilę słońce, ale pogoda bardzo niepewna.

Pod nagimi, szerniałymi olchami widać w gruncie głębokie ślady kół traktora, który tam się utopił, i jeszcze głębsze ślady kopyt koni które go wyciągały. Nieco dalej, na niewielkim, suchym wzniesieniu stary rolnik sieje z płachty jęczmień; syn prowadzi konia z bronami które przykrywają rzucone w wilgotną jeszcze ziemię ziarno. Skrawek pola koń więc drobi w kółeczko; a stary przypala papierosa zaciąga się kilkakrotnie i wystawia dłoń, jakby nie wierzył, że nadal nie pada; odrzuca papierosa i ponagla syna do szybszej roboty.

W płaskim, nizinnym krajobrazie horyzont jest szeroki i tam, gdzie pociemniała ziemia zlewa się z równie ciemnym posępnym niebem, rysują się sylwetki dwóch turkoczących ciągników z przyczepami; ludzie machają łopatami, śmiga żwir, opadając z chrzestem w doły, koleiny i wyrwy. Sroga, śnieżna zima i pełne wody przedwiośnie nie oszczędziły słabo utwardzonych, lokalnych dróg, a trzeba przecież odstawić mleko, dostarczyć na wieś środki produkcji i dowieźć dzieci do szkoły, toteż zanim można będzie wejść swobodnie na podmokłe pola, rolnicy naprawiają szkody na drogach.

Kiedy pytam **Antoniego Kucharskiego**, jak było o tej porze w roku ubiegłym, najpierw zagląda do kalendarza, aby się upewnić, że jest poniedziałek, 23 kwietnia, potem patrzy w przecierające się lekko niebo i zatacza ręką szerokie koło.

— Wszędzie, jak okiem sięgnąć, zielenilo się, proszę pana. A teraz brzózki ledwie co puszczają. Na innych drzewach jeszcze pąki nie pękły. W zeszłym roku wszystko było obsiane, kartofle miałem posadzone już 8 kwietnia.

Przygładza wielką, ogorzałą dłonią gęste, posiwiałe włosy i mrużąc w chwili namysłu ciemnopiwne oczy, ukryte pod czarnymi, krzaczastymi brwiami, dodaje z uśmiechem:

— Najlepiej wypadłoby porównanie z promem. W ubiegłym roku prom ruszył 25 marca. W tym roku założyliśmy prom dopiero wczoraj, cała niedziela poszła na uruchomienie. Warta trzy razy się podnosiła, ostatnio tydzień temu woda wylała się z koryta...

Życie wsi **Tomisławice**, gdzie Kucharski jest sołtysem, związane jest z rzeką i z promem, bo część pól leży za Wartą, a mostu nie ma. Szpachlowali i łatali stary prom, nowy bowiem kosztuje 1,5 mln zł, a poza tym nikt nie chce ich budować, nawet stocznia szczecińska się nie kwapi, aż przyjechał ekspert, rąbnął obuchem w burtę, siekiera przeszła na wylot i trzeba było starać się o nowy. Zdobyli go w dole Warty za 450 tysięcy. To było dwa lata temu, sucho, woda na 40 cm, a prom, który był ciągnięty przez holownik, ma zanurzenie 60 cm; Kucharski przez tydzień brodził przed holownikiem, wyszukując mieliznę i doprowadził prom do wsi.

— I warto się było tak poświęcać?

— Wie pan, tyle się mówi, że każdy hektar musi rodzić, jakże więc zaniedbywać? A bez promu tragedia, 25 kilometrów objazdu. To jest dobry prom, lekko idzie, na korbę. Na starym baby z dziećmi zsiadały z wozu, żeby ciągnąć linę...

Na podwórzu leży przykryta folią pryzma ziemniaków.

— Będzie pan sadził?

— Moje już posadzone, jeszcze przed świętami. Z tej strony drogi już sucho. A te ziemniaki to zbierałem dla powodzian w Ostrołęce.

Przyglądam mu się uważnie: ma czerstwą, zdrową, ciemną twarz, w oczach wesołe ogniki. Ma taką cerę czy opalił się? Ale gdzie, kiedy? Pytam o to półżartem.

— To nie cera! Opaliłem się na czynach społecznych...

Wylicza na palcach: dwa dni że aż do znudzenia. Ale to prawda. A poza tym ludzie bardzo są przywiązani do swojej ziemi. Za rzeką jest około 50 ha pól i łąk. Ta ziemia dobrze zbieranie ziemniaków dla powodzian, niedziela przy promie, a przedtem cztery dni przy naprawie dróg w czynie społecznym.

Nikt nie czeka z założonymi rękami, aż pola podeschną, póki co, wykonuje się te prace, na które później nie będzie czasu. I tak jest w całym województwie sieradzkim.

Ludzie byli dość czujni, sprawnie działały komitety przeciwpowodziowe, toteż w Sieradzkiem straty są stosunkowo niewielkie. Ale było groźnie; wielkie rozlewisko powstało w okolicach Działoszyna, gdzie z trudem opanowano sytuację, zagrożony był także Sieradz, ale zdołano podwyższyć wały i wielka fala ominęła miasto. Zresztą nie tak groźna jest sama Warta, jak jej dopływy, szczególnie Widawka i Grabia; kiedy wysoka fala z tych rzek zderzy się z falą warciańską, trzeba w jednym miejscu podwyższać wały, w innych przekopywać, aby w ten sposób regulować poziom wody.

Straty były niewielkie, ale w dorzeczu Grabi ucierpiały np. łąki, których setki hektarów stało pod wodą; namułów jest mniej niż w województwach szczególnie dotkniętych klęską powodzi, lecz w całym dorzeczu Warty trzeba będzie jeszcze raz wapnować i nawozić łąki. Wzdłuż Warty uszkodzeniom uległy nawet budynki głównie w gminach Warta, Pątnów, Sieradz i Widawa ogółem zaś mocno przemoknietych zostało około 4 tys. hektarów zbóż i zalanych ponad 200 kopców z ziemniakami. Wysokość strat dopiero się ustala, jednakże już dziś wiadomo, iż w sanych urządzeniach melioracyjnych wynoszą one ponad 7 milionów złotych i dlatego Sieradzkie zaliczono do województw powodziowych.

— Otrzymaliśmy niezbędną pomoc — wyjaśnia Bogusław Śliwczyński, zastępca kierownika wydziału rolnictwa KW PZPR — i zaczęliśmy nadra-

Dalszy ciąg na str. 6

odgłosy

Redaguje kolegium: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępcy redaktora naczelnego), JERZY KATARASIŃSKI (sekretarz redakcji) oraz zespół: RYSZARD BINKOWSKI KONRAD FREIDLICH EUGENIUSZ IWANICKI BOGDA MADEJ ANDRZEJ MAKOWIECKI RYSZARD ŁUCYSZYN (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, TOMASZ SOLDENHOFF, GRAŻYNA SZYPOWSKA redaktor techniczny. Stale współpracują: JAN BABIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, TADEUSZ BŁAŻEJEWSKI, TADEUSZ CHROŚCIELEWSKI, ANDRZEJ F. GRABSKI, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, ANDRZEJ BLAJER, ZBIGNIEW S. NOWAK EWA NURCZYŃSKA WŁADYSŁAW ORŁOWSKI JERZY PANASEWICZ, EWA PANKIEWICZ KRZYSZTOF POGORZELEC WITOLD SŁAWSKI TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, JANUSZ SZYMAŃSKI GLANC JERZY URBANKIEWICZ JERZY WILMAŃSKI.

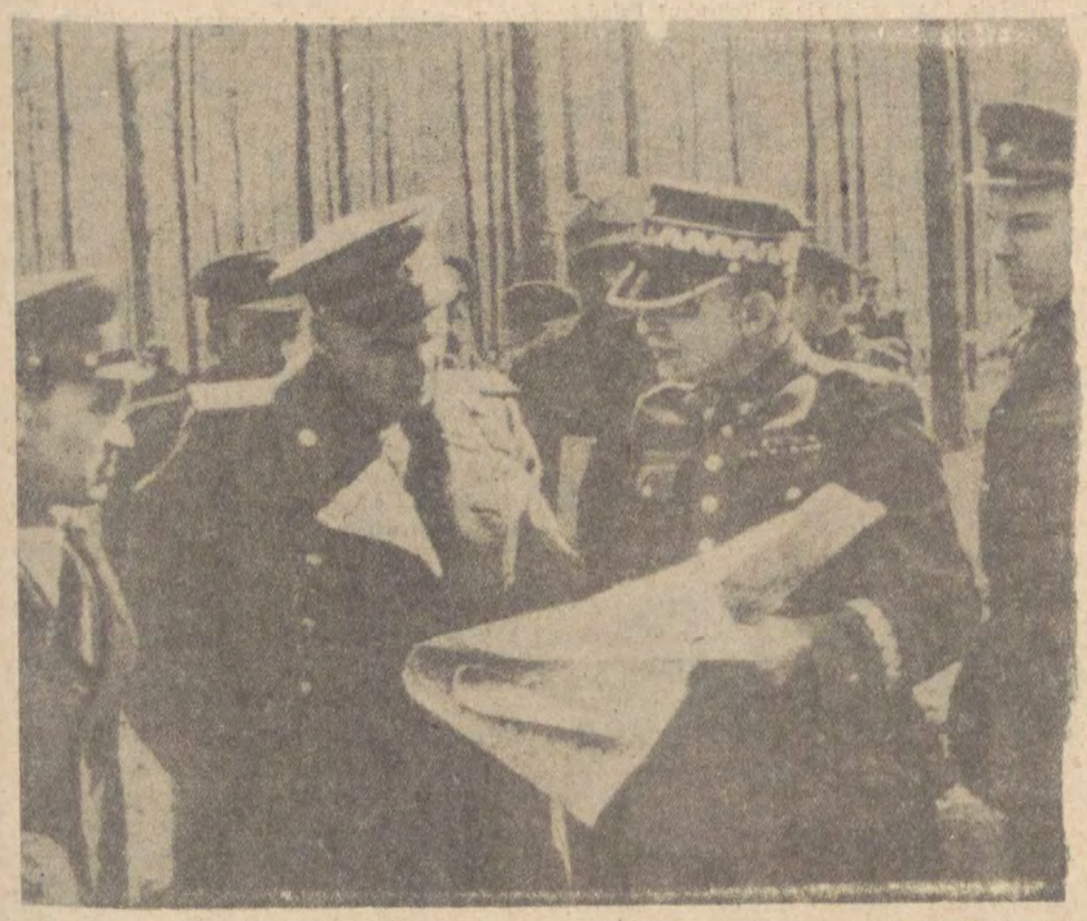

Foto: Archiwum

Przed operacją nyską.

Dalszy ciąg ze str. 1

Rankiem, 22 kwietnia 1945 roku, dowódca sztabu frontu przekazał rozkaz: 7 dywizję piechoty podporządkować 52 Armii, na styku z którą dojrzewała katastrofa — możliwość przebicia się niemieckich czołgów. Pietrow polecił Prus-Więckowskiego. Gen. Korotejew natychmiast utworzył grupę Więckowskiego, wzmacniając ią własnymi oddziałami.

Niezawodny dowódca zawsze da się zauważyć. Bądź to porywczy Waszkiewicz, wychowanek Armii Radzieckiej, lub zamknięty w sobie, powolny Prus-Więckowski, który przyszedł ze starej armii polskiej. Tylko pierwszego nieraz trzeba przytrzymywać drugiego — ponaglać...

Niemieccy czołgiści okrążali punkt dowodzenia 5 dywizji piechoty. Dowódca oddziału kulturalno-oświatowego zastrzelił się. Ranny Waszkiewicz dostał się do niewoli.

W tej tragicznej godzinie Karol Świerczewski znajdował się w jednym z batalionów „piątki". Gdy odniesiono do sutereny ostatniego porucznika z przestrzeloną nogą, zebrał podoficerów — zostało ich z dziesięciu — i przyznał się: Sytuacja krytyczna, jeśli ktoś się boi, niech powie. Podoficerowie milczeli. Generał wyjaśnił:

— Sytuacja jest taka, że nie ma co udawać zuchów.

Dwóch wymamrotało ze skruchą:

— Boimy się.

— Brawo! — krzyknął Świerczewski. — Macie dosyć odwagi i uczciwości. Jeden z was będzie dowodził batalionem, drugi będzie jego zastępcą. Do szeregów! Ja za was dowodzić batalionem nie będę...

W końcu kwietnia, w samą porę zjawił się wysłannik 1 Frontu Ukraińskiego, generał-major Kostylew. Jego pewność siebie, osobista znajomość z dowódcami radzieckich dywizji walczących obok, uprościły, istniejące jeszcze pięć minut temu, wręcz łamigłówkowe zadania.

1 korpus czołgów trzeba było podciągnąć blisko pod Budziszyn. W zaciekłych bojach udział brało jednocześnie ponad sto maszyn.

Ponad gruzami domów, nad resztkami betonowych ogrodzeń, nad opalonymi lipami unosiły się czarne kłęby dymów.

Za wszelką cenę zatrzymać Schörnera, osłonić wojska szturmujące Berlin.

Zasłona dymna rozstąpiła się i słonecznie niebieskie — od krańca do krańca horyzontu — niebo rozpostarło się nad głową. Cisza rozdzwaniała się nie milknącymi głosami ptaków. Jakim cudem ocalały ptaki w spalonych sadach wokół Budziszyna, gdzie zastygł wyczerpany front?

Lekki, majowy wiatr z górskich szczytów Szwajcarii Saksońskiej suszył pagórki bratnich mogił.

Nie, to nie koniec. Przedpróg. Porośnięta lasem Szwajcaria Saksońska, a za nią Szwajcaria Czeska — rubieże końcowego natarcia.

Z Hitlerem, Kancelarią Rzeszy — skończone. Czas skończyć z Schörnerem, grupą „Centrum", rozrzuconą wewnątrz podkowy utworzonej przez 1, 4 i 2 Front Ukraiński (Drugim dowodził marszałek R. Malinowski; odległość jego punktu dowodzenia od punktu dowodzenia Świerczewskiego była w linii prostej nie tak wielka, lecz pomiędzy nimi — milionowa armia Schörnera, zagrażająca powstańczej Pradze).

W burzliwym, zwycięskim natarciu, kiedy przeciwnik to odrywał się, to wgryzał się w górskie szczyty, to wypadał z zasadzek w wąskich przejściach, Świerczewski był zmuszony co godzinę przegrupowywać swoje dywizje w marszu, zmieniając zadania i tempo.

W nocy na 8 maja, grupa „Centrum" zaczęła się pośpiesznie cofać.

Świerczewski wstrzymał przygotowanie artyleryjskie i rozkazał zwiększyć szybkość pościgu. Przez radio podano: O dwudziestej czwartej zero zero 8 maja wchodzi w życie akt o bezwarunkowej kapitulacji Niemiec. Świerczewski jednak kontynuował zadania. Schörner bowiem odmówił kapitulacji, i gdy część jego jednostek nawiązywała ariergardowe walki, inne, w pośpiechu, porzucały automaty i działa. Kimbar podawał przez radio o dziesiątkach „tygrysów" prowadzących ogień z ukrycia.

— Nie dziesiątki, nie myl ich z dziecięcymi wózkami.

Kimbar nie mylił. Ale tam, gdzie teraz znajdował się Świerczewski, panowała usypiająca cisza i trudno było uwierzyć w dziesiątki „tygrysów". Bardzo dobrze, że polski żołnierz ujrzał mokre plecy uciekającego niemieckiego żołnierza i ten obraz przyniesie ze sobą z wojny.

Ogromne plakaty na ścianach Budziszyna wzywały: „Siegen der Sibirien!" W miastach czeskich Sudetów alternatywa się zmieniała: „Tod oder Sibirien!"

Własny koniec kampania hitlerowska przyjmowała jako koniec narodu, kraju, świata. W której minucie utożsamiła się ona ze światem. Czując na gardle pętlę? Wypytując nadwornych lekarzy o śmiertelne dawki trucizny? Świerczewski, głęboko, od dawna nienawidził hitlerowców. Słyszał opowiadania kominternowców, którzy uciekli z obozów, thälmanowców z Hiszpanii. Bez pośpiechu, barak za barakiem, oglądał Oświęcim i Majdanek...

Początkowo fermentował zacier narodowego szowinizmu. Tym bardziej że za nimi pozostała przegrana wojna, hańba układu wersalskiego, niemoc i nędza Republiki Weimarskiej. Lecz my jesteśmy „nad". Najpracowitsi, najdokładniejsi, najbardziej oddani Vaterlandowi (później, zamiast Vaterlandu, podstawiono Vater-führer). „Nad" — to prawie niepokonani. Szczególnie, gdy pokrzepieni kawałkiem chleba. Najpierw z margaryną, później — z powidłami, w końcu — z masłem.

Uwierzyli w to „nad". Zabrali się do uwolnienia ziemskiego globu od tych „pod" — komunistów, socjaldemokratów, pastorów, niezdecydowanych inteligentów, plutokratów, chorych umysłowo, Żydów, Słowian, Cyganów, Francuzów-żaboiadów. Wodzowie nie skąpili zagrzewających haseł, narodowy szowinizm, jak piwna piana chlustał poza brzegi. Dotychczas — ani w myślach, ani w życiu — nie utożsamiali siebie z wiwatującym tłumem, lecz teraz — nierozerwalna wspólnota śmiertelników.

...Zdobyczny otwarty „mercedes" mknął po asfalcie, obok kwitnących po obu stronach drogi jabłoniach.

Świerczewski odwrócił się.

— Patrz, Władka!

Na tylnej kanapie, podoficer Włada Piechocka, przyciskała do oczu mokrą chusteczkę.

Za jabłoniami — łagodne zbocza górskich łąk. Na nich — porzucone działa, czołgi, gigantyczne woszczyny 6-lufowych miotaczy min, potężne ciągniki, sztabowe autobusy ze szczecinami anten. Wśród jednostajnego, zielono-czarnego sprzętu bojowego żółciła się amfibia. Nie wytrzymał, zbliżył się, dotknął butem twardych opon. Z Afryki, rommelowska. Widzisz, gdzie ją zaniosło!

Skądś wypadła gromada jeńców amerykańskich.

— Hallo, general!

Wypchnęli przed siebie jednego z siwymi zaporożskimi wąsami i z naszywkami kaprala na wypłowiałej kurtce.

— Hallo, wasza wysokość — nieśmiało wymamrotał amerykański Ukrainiec.

— Witaj, bratku!

Pogładził kaprala po siwiejącym czubie. Tamten oglądał furażerkę z kokardą, obramowane srebrnym obszyciem pagony.

— Cara, waszy wysokość, przywróciliście?

Świerczewski, śmiejąc się, wyjaśnił, że orzeł nie jest dwugłowy, ale polski...

Na skrzyżowaniu, obok szczuplutkiej rosyjskiej dziewczyny „regulirowszczycy" zastygł tęgi, starszawy Czech — oficer, w wyciągniętym z dna skrzyni mundurze z regaliami.

Świerczewski, co chwila, odwracał się ku Władzie: Popatrz! Niech zobaczy. Po to przeżył on swoje czterdzieści siedem lat, słuchał gwizdu kul u Wrót Nikolskich, w kozackich stanicach nad Donem, w tombowskiej „czaszczobie", na poligonie Akademii Wojskowej, na madryckich przedmieściach, na kolejowej bocznicy Wiaźma-Rżew, na zielonym brzegu Nysy...

Chciało się zapamiętać jedynie to niezapomniane — radosne, triumfalne — zwycięskie. Lecz przeżył przecież czterdzieści siedem lat i zmęczonym okiem chwytał się także i tego, co dziś można by przeoczyć.

— Chłopaki — Świerczewski, siedząc w samochodzie, przywołał dwóch polskich żołnierzy z automatami, ciągnących pierzynę. — Co to znaczy?

— Przecież to niemieckie, obywatelu generale.

— Ale my jesteśmy Polacy...

W miasteczku Czerwona Lipa, maszerowała po bruku nieskładna kolumna cywilów z białymi opaskami na rękawach i z łopatami na ramieniu. Kolumnę zamykał utykający starzec w grubych okularach w drucianej oprawie. Obok, rumiany młodzieniec: biała koszula, krawat, karabin.

Świerczewski wysiadł z „mercedesa". Młodzian chętnie wyjaśnił, posługując się czterema językami — czeskim, polskim, niemieckim i rosyjskim: miejscowych Niemców osiedli się w przeznaczonych dla nich domach, zobowiąże się do noszenia opasek, pozwoli się chodzić tylko po jezdni i każde się sprzątać ulice.

— Dokonali przestępstw?

— Żydzi, których wpędzali do gett, także nie byli przestępcami — rozsądnie odpowiedział młody Czech.

Wówczas Świerczewski — nie mniej spokojnie — poradził mu wziąć łopatę od ostatniego Niemca, natychmiast zdjąć z rękawów opaski. Rozumie szlachetny gniew mieszkańców, lecz wątpi, bardzo wątpi w sens getta dla Niemców.

— Ale hitlerowcy...

— Dlatego my tak nie możemy.

Przy wyjeździe z miasta Czeszki, w wyszytych w kwietne wzory spódnicach, czerpały piwo z beczki wielkimi, fajansowymi kubkami, częstując polskich i rosyjskich żołnierzy. On sam z przyjemnością wychylił pełny kubek z metalową pokrywką.

• • •

Świerczewski czuł za plecami świeżo ociosane stropy, słyszał głośne stukanie młotków w czasie, gdy trwały posiedzenia Sojuszniczej Rady Kontroli w Niemczech a także wtedy, gdy stał na czele polskiej delegacji. Układność polemiki dyplomatycznej nie nastrajała go do uległości.

— Polska, podobnie jak Związek Radziecki, ucierpiała więcej, niźli kraje, które wy, panowie, reprezentujecie. I dlatego ma prawo do maksymalnego odszkodowania.

Feldmarszałek Montgomery, szef angielskiej misji wojskowej, wydając w swojej rezydencji w Spandau przyjęcie na cześć Świerczewskiego, miał zamiar wysondować Polaka. Wbrew ostrzeżeniom doradców o wyczulonym honorze polskiego generała, ujrzał przed sobą wcale nie dumnego, ale raczej chytrze prostodusznego człowieka.

— Pan feldmarszałek, mam nadzieję, został poinformowany o mnie, jako o starym agencie Kominternu?

— Czy w pańskiej teczce znajduje się plan rewolty w Londynie?

— Prawie pan zgadł.

Świerczewski szarpnął zamek błyskawiczny. W otwartej teczce leżały paski linoleum.

— Buduje pan willę? — ze zrozumieniem zainteresował się chudy feldmarszałek.

— Odbudowujemy kraj. Zniszczona została jedna trzecia mieszkań, ponad połowa szkół.

Generał więcej się nie uśmiechał, feldmarszałek nie żartował. Po przyjęciu do sali wpadł tłum dziennikarzy i rozmówcy wyrazili szczere zadowolenie ze spotkania.

Brytyjski feldmarszałek, znacząco uśmiechając się, oświadczył, że ze względu na charakter swego zajęcia od dawna interesował się „czerwonymi generałami" i zwrócił uwagę na pana Świerczewskiego jeszcze w czasach, gdy ten w Hiszpanii nazywał się Walter. Cieszy się, że spotkał się z Walterem-Świerczewskim przy stole rozmów sojuszniczych, a nie jako z przeciwnikiem na polu bitwy.

Świerczewski, nie chcąc być dłużny, oświadczył, że obserwuje dzielnego feldmarszałka od tamtych odległych lat, kiedy ten, ukończywszy akademię Sandhurst i skończywszy wojnę przeciwko kajzerowskim Niemcom, rozpoczął swą chwalebną karierę wojskową. Szczególnie bliskie Polakom stało się nazwisko feldmarszałka od czasu Tobruku.

Montgomery odpowiedział skinieniem głowy cywilom i zapewnił, że Londyn nie zapomni komu zawdzięcza rozwiązanie tajemnicy rakiety „V".

Obaj, wspomniawszy o Tobruku i o „V", trochę bluffowali, popisując się wzajemnie wiadomościami o sobie. O hiszpańskiej przeszłości Świerczewskiego Montgomery otrzymał informacje ze swego sztabu na pół godziny przed spotkaniem. O tym, że Montgomery jest absolwentem akademii w Sandhurst Świerczewski dowiedział się godzinę temu, prosząc tłumacza, by przeczytał mu biografię feldmarszałka, zamieszczoną w angielskim informatorze „Who is Who?".

Kończąc konferencję prasową, chudy feldmarszałek przedstawił śmiały punkt widzenia: Pokój jest na tyle słabą budowlą, iż generałowie, znający inżynierię, być może potrafią go lepiej umocnić, niźli cywilni politycy i dyplomaci.

Świerczewski ograniczył się do neutralnego ukłonu i gdy w wysokim ciemnawym hollu — dzień był wrześniowy, pochmurny — zapłonęły światła, po prostu uśmiechnął się do obiektywu. Montgomery, przed sfotografowaniem się, włożył swój nieodstępny beret ze srebrnymi emblematami.

W. KARDIN

MIĘDZY WOJNĄ A POKOJEM

Foto: Archiwum

Przekład: EUGENIUSZ IWANICKI

Dalszy ciąg ze str. 1

Jak ja kiedyś z wojny wrócę,
za jakichś parę ładnych lat,
zdejmę chlebak, plecak zrzucę,
i zaśpiewam wnukom tak:

Czy pamiętasz, wnuku,
jak dziadzio był w Tobruku,
i myślał sobie: oj, niedobrze,
oj, niedobrze,

Coś za dużo huku...
Szumiało morze w blasku,
huczało niebo w trzasku
a dziadzio myślał: co tu tyle,
co tu tyle
nasypali piasku?...

Chłopak potyka się kilka razy, poprawia, brzask miesza mu się z trzaskiem, a trzask z blaskiem, ale kończy już pewnie. Ach tak, myślę sobie, więc to jest geneza owego obiegowego „nasypali piasku". Nawet to dowcipne, zwłaszcza, jeśli rzecz skojarzy się z pustynią.

Chłopak raczej tego nie czuje. Nie czuje też, bo nie może, prawdziwego posmaku piosenki. Przypadła mu na pewno do gustu, bo mówi o wojaczce, dalekich krajach, egzotycznym mieście.

Pociągnąwszy znów nosem, kończy śpiewać:

Dziatek zbierze się gromadka
i szczebiotliwą mową swą
będą pytać swego dziadka,
skąd on się w Tobruku wziął?

Właśnie. Skąd wziął się w Tobruku? Dziadek nazywa się Bronisław Dobroński, pracuje na swym gospodarstwie, i, co ciekawe, nie przypomina wcale wyglądem dziadka. Jego życie splotło w sobie w szczególny sposób dwa miejsca, związane z imieniem polskiego żołnierza: Wiznę, skąd pochodzi i do której powrócił, oraz — Monte Cassino. Żołnierska droga pana Bronisława jest, jak to się mówi, owiana legendą w jego rodzinie, jednak legendą specjalnego rodzaju: ludową, prostą, bez upiększeń, nie pozbawioną odcienia humoru, którym pan Bronisław zawsze się odznaczał.

— **Nie służyłem w wojsku, to i na wojnę mnie nie wzięli** — mówi nasz bohater. — **Dopiero później wojowałem. Gdy Niemcy uderzyli na Wiznę i było już wiadomo, że nie pomogą bunkry, ani zacięta obrona, wszyscy mężczyźni opuścili wieś. Uciekłem i ja z nimi, a gdy front się przetoczył, wróciłem nocą do domu. Żona ukryła mnie w stodole i tam donosiła mi jedzenie. Któregoś razu przyszli do naszej zagrody niemieccy żołnierze. Jeden wymierzył z karabinu w stodołę, myślałem, że już ze mną koniec. Dopiero, gdy wystrzelił i coś zakrakało, połapałem się, że celował do wrony. Kiedy pokazałem się na wsi, kobiety płakały na mój widok. Każda przypominała sobie męża, który do wsi nie wrócił.**

Potem byliśmy w Związku Radzieckim. Pracowałem w kołchozie, przy elewatorze, ładowałem wagony. Później organizowali wojsko, stanąłem na komisję, dostałem skierowanie do Ługowoi. Tam tworzyła się 10 dywizja. Zostałem przyjęty do saperów. 10 lutego wstąpiłem do wojska, a 23 marca wyjechałem już do Persji. Z Persji pojechaliśmy do Iraku, później do Palestyny. Uczyliśmy się stawiać mosty, obchodzić z minami. Później, w Syrii, odbyliśmy ćwiczenia wodne. Na koniec pojechaliśmy do Egiptu. To właśnie z tamtych czasów zapamiętałem piosenkę o egipskich piaskach i polskich husarzach. Niech pan się nie śmieje, takie były słowa piosenki.

W egipskich piaskach dalekich
z piramid patrzą na nas wieki,
zadziwimy świat swoją mocą,
husarskie nam skrzydła łopocą.
Marsz, marsz, Brygado Karpacka,
w nas duch i siła junacka,
na ostrzach naszych bagnetów
niesiemy hasło odwetu.
Gdziekolwiek los nas zaniesie —
w oczach nam płonie krwawy
wrzesień....

W grudniu 1943 wyruszyliśmy na front. Gdy jechaliśmy przez morze, co dzień był alarm, żeby w razie ataku niemieckich samolotów, wojsko było przyszykowane. Kiedy znaleźliśmy się niedaleko Krety, znowu alarm, a potem wszystkie działa zaczęły strzelać. Myśleliśmy, że to nalot, zrobił się popłoch, ja też miałem duszę na ramieniu. Dopiero później okazało się, że był to salut honorowy dla upamiętnienia wielkiej bitwy morskiej w pobliżu Krety.

23 grudnia, tuż przed Bożym Narodzeniem, przyjechaliśmy do Włoch. Przez dwa miesiące trwały jeszcze ćwiczenia, a potem wyruszyliśmy w Apeniny, nad rzekę Sangro, gdzie szykowaliśmy stanowiska dla artylerii. Tu właśnie przeszedłem swój chrzest bojowy.

Potem poszliśmy pod Cassino. Moja drużyna miała za zadanie zbierać miny i budować schrony dla obserwatorów. Kiedy zaczęła się ofensywa, mieliśmy iść do przodu. Ale nas zatrzymali, nie wiem, dlaczego, i przez pięć dni siedzieliśmy na miejscu. Zimno było, bo nie mieliśmy płaszczy, ani przyzwoitych butów, tylko meszty, żeby chodzić cicho po kamieniach. Wszystko zostawiliśmy na dole. Nocami trzęsło nas, jak w febrze, nie można było spać, kopaliśmy doły w ziemi i w nich chroniliśmy się przed chłodem.

Później przyszedł dowódca, zrobił odprawę, powiedział nam, że musimy za wszelką cenę zdobyć Monte Cassino, a kiedy zdobędziemy, to już dla Polaków wojna będzie skończona, już będzie dobrze.

No i zaczęło się. Myśmy dostali rozkaz, żeby iść do Dużej Miski (tak nazywało się to miejsce) i tam przygotować schron obserwacyjny dla dowódcy batalionu. To było w nocy, nasz drużynowy nie wiedział dobrze, gdzie to miejsce się znajduje, prowadził nas, a myśmy szli za nim, i tak weszliśmy na drugi wierzchołek. A tam siedzieli Niemcy. Jak nas zobaczyli, dali do nas ognia. Całe szczęście, że blisko rosła pszenica, która się już wypłowiła. Więc myśmy popadali w tę pszenicę i zaczęliśmy się wycofywać. Tak doczołgaliśmy się do sterty kamieni, bo tam, jak mają pole, to zbierają z niego kamienie i układają w stertę. Leżymy za tą zasłoną, a kule trzaskają w kamienie, że aż iskry lecą.

Gdy trochę ucichło, przesunęliśmy się niżej, do skarpy. Z niej każdy skakał już w dół, jak popadło. Ja chwilę przysiadłem, patrzę, leży zabity żołnierz. Odsuwam się trochę w bok — a tam leży drugi. Bo to miejsce szturmowali już i Francuzi, i Anglicy jakie tylko wojska tam były, to pozostawiały swoich zabitych. Rannych zbierali, a zabitymi nikt się nie zajmował. Tak wycofaliśmy się do miejsca, gdzie trzeba było ten schron zrobić, zrobiliśmy go i poszliśmy do przodu.

Poszliśmy nocą, bo zawsze chodziliśmy po ciemku. Jak Niemcy zaczęli bić, to niech Bóg broni. Zrobił się krzyk, płacz, ten woła sanitariusza, ten pomocy, a tu ciemno, Niemcy biją, zdawało się, że to już koniec świata. Mój drużynowy został ranny, raniło kilku kolegów, sam nie wiem, jak stamtąd wyszedłem z życiem.

Rano dostaliśmy wiadomość, że Monte Cassino zdobyte. Była wielka radość, ale nie na długo. Wzięli nas na front nad Adriatyk. Tam było takie miasto, bodajże Escara. Dość duże, zupełnie opustoszałe. Niemcy wszystkich stamtąd wywieźli, bo spodziewali się desantu. Zaminowali ulice, domy, a nawet plażę. Myśmy mieli rozminować to miasto. Zaraz pierwszego dnia miny poraniły kilku żołnierzy. Dowódca powiada: jak tak dalej pójdzie, to nie będę miał jednego żołnierza, wszyscy mi wyginą. Więc wydał rozkaz, żeby nie rozbrajać min, a tylko zakładać kable i ciągnąć. Jeśli mina nie wybuchnie, to dopiero wtedy ją rozbroić. I tak szliśmy dom po domu, aż Niemcy nas wypatrzyli i zaczęli strzelać z moździerzy. Na dole miny, z góry pociski — prawdziwe piekło. Schroniliśmy się między beczki z winem, bośmy właśnie rozminowywali winiarnię. Nagle upadł pocisk z moździerza. Ja mówię: chłopcy, wiejmy stąd, bo robi się gorąco. Jak Niemcy zaczęli bić, to tak: dolatuję do bramy, a mój kolega, to już chyba było mi tak sądzone, złapał mnie za rękę i pociągnął do siebie. W tej samej chwili pocisk zerwał mi lufę w karabinie, że tylko poszły drzazgi. Temu, co leciał przede mną, gońcowi z łączności, urwało nogi, ten, co był za mną, został zabity, ja podług prawa to już powinien dawno nie żyć — orzeka pan Bronisław. — Bo ile ja tych przejść w saperach miałem, to nie da się opisać.

Tu naszego bohatera ponosi fantazja, ale i duma z dawnej przynależności do saperów. Duma wyrażona zresztą w szczególny sposób.

— **Saperzy to najgorsza broń, proszę pana. Piechota wejdzie w dołek i się schowa, artyleria z daleka strzela, a saper tak: idzie czołg, na minę wejdzie, saperów trzeba, piechota idzie, na minę wejdzie, trzeba saperów.**

Na przykład przy zdobywaniu Ankony. Nas też tam wzięli, i pojechaliśmy miny zbierać. Jedziemy samochodem pancernym, po trzech z każdej strony i patrzymy, czy nie ma min na szosie. Bo jak założyć minę pod asfaltem, to zawsze ślad zostaje. Nagle upadł pocisk. Samochód stanął, my do rowu. Mój kolega nie zdążył wyskoczyć. Wracamy, a on się rzuca, biedny, został ciężko ranny w plecy, zaraz zmarł.

Na koniec poszliśmy pod Neapol. Gdyśmy byli na przedpolach Neapolu, wojna się skończyła. To zamiast iść do przodu, jak powinno być, Niemców brać i rozbrajać, bo myśmy tą nadzieją żyli — zapakowali nas do samochodów i całą noc wieźli do tyłu. Przywieźli nas do Grotamare, przez cały rok tam siedzieliśmy. Nie mogę powiedzieć, dobrze nam tam było, piękne okolice i w ogóle.

Ja byłem kierowcą, miałem swój samochód. Mam kolegę. Chcę jechać do niego samochodem, idę do dowódcy, żeby mi dał pozwolenie, a on na mnie z krzykiem: „Wy byśta tylko jeździli, pomarnujeta wszystko, a na czym wy do Polski zajedzieta?". Bo wszyscy w to wierzyli, że na tym sprzęcie pojedziemy do kraju.

Czasami, proszę pana, przyjeżdżamy do jakiejś wioski, pukamy w okno, a każdy myśli: jak tak do Polski przyjedzie, zapuka do swojego okna... Jaka to byłaby dla nas radość.

Broń zabrali, kazali wozy zdać, każdy ręce opuścił i koniec. Wielu to, proszę pana, wariowało, bo nie wiedzieli, co robić.

Później zawieźli nas do Anglii. Byłem tam przez 9 miesięcy, no, a potem wróciłem do kraju. Żona mi wypomina, gdzie ja się tyle czasu pałętałem po świecie. Więc powiedziałem, że daję jej jeszcze 20 lat na poprawę, i ani roku więcej. Jak się przez ten czas nie zmieni, to się z nią rozwiodę...

Dosyć to zaskakująca pointa wojennej epopei pana Bronisława, który zbliża się do sześćdziesiątki. Ale, jak już się rzekło, ta chłopska epopeja ma w sobie spory ładunek humoru, może coś się w niej i poplątało, może i przesadziło, ale nie o to przecież chodzi.

Więc żona uśmiecha się pobłażliwie, jakby wcale nie przelękła się groźby. Potem jednak poważnieje, gdy zaczyna wspominać:

— **U nas było wszystko zniszczone, front dwa razy przechodził przez Wiznę, w 39 i 45. Gdyśmy tu wrócili, nie mieliśmy dosłownie nic, ani domu, ani gdzie mieszkać, mieszkaliśmy u kuzynów. Później dali nam kawałek baraku poniemieckiego i postawiliśmy sobie taki maleńki domek. Mieszkaliśmy w nim przez 20 lat. W tym nowym, murowanym domu mieszkamy dopiero 4 lata.**

— **Akurat tyle, ile ja miałam lat, gdy wybuchła wojna** — włącza się do rozmowy córka pana Bronisława. **Jak tatuś poszedł na wojnę, było nam bardzo ciężko, mama musiała o wszystko się starać, nas obchodziło tylko, żebyśmy mieli co zjeść i w co się ubrać. Mama nie miała od ojca żadnej wiadomości, nie wiedziała nawet, czy żyje. Pierwszy list dostała po zakończeniu wojny. Dopiero dzisiaj rozumiem, co wtedy przeszła. I tak przez te wszystkie lata musiała się kręcić i suszyć sobie głowę, bo nas była trójka dzieci: ja, siostra i brat. Siostra pracuje teraz jako księgowa w Warszawie, a brat pod Bydgoszczą, w Mroczy. Jest doktorem weterynarii.**

To ostatnie zdanie córka pana Bronisława wypowiada z wyraźną satysfakcją. Sama została na gospodarce przy rodzicach, pomaga im razem z mężem. Dochowała się też troje dzieci, samych chłopaków.

— **Czasem zdaje mi się, że ja niedawno taka byłam, jak oni. Gdy wróciliśmy do Wizny, miałam 9 lat, tyle, ile ma teraz mój najstarszy syn. Ale on już mnie przerósł, niech pan popatrzy, jest wyższy ode mnie. A wie pan, co sobie myślę, gdy śpiewają razem z dziadkiem? To dobrze, że wojnę znają tylko z piosenki.**

TADEUSZ GICGIER

JAK JA KIEDYŚ z wojny WRÓCĘ...

Foto: Archiwum

TOMASZ SOLDENHOFF SYMBIOZA

Jaka jest przyczyna konfliktów powstających między projektantami a wykonawcami? W pewnym uproszczeniu można by powiedzieć, że w spotkaniu projektant-wykonawca ten pierwszy patrzy na sprawę na ogół od strony klienta; jego jedynym celem jest, aby rzecz, którą projektuje, była nowoczesna, jak najlepiej skonstruowana i... zgodnie z projektem zrealizowana. Producent (wykonawca) natomiast walczy przede wszystkim o zmniejszenie ewentualnych kłopotów wykonawczych i zaopatrzeniowych, chce ten projekt zrealizować możliwie szybko i możliwie małym kosztem...

Czy konflikty projektant – wykonawca muszą być jednak „złem koniecznym"?

Od tego pytania zacząłem moją rozmowę w Zakładzie Projektowania i Konstrukcji Galwanizerni i Lakierni w Łodzi. Dyrektor — mgr inż. Wojciech Jałocha odpowiedział:

— *Nie muszą być jeżeli obie strony zjednoczy wspólny cel i jeżeli dla jego realizacji przyjmie się korzystne dla obu stron zasady współpracy.*

Ale, jak gdyby obawiając się, by nie zabrzmiało to zbyt optymistycznie, dyrektor dorzucił jeszcze:

— *Czy to jednak znaczy, że w ten sposób uniknie się sporów? Nie. Tylko, że zanim zacznie się podczas rozprawy arbitrażowej rozmawiać argumentami prawnymi, można wcześniej porozumieć się przecież argumentami technicznymi. Rada techniczna — to jest właściwa płaszczyzna dyskusji...*

1.

Gdzie istnieje to przedsiębiorstwo, które w rozmowach projektant — producent potrafi obejść się bez pośrednictwa sądów polubownych? Rozkładając je na „czynniki pierwsze": w Wieluniu — zakład generalnego dostawcy oraz największy zakład produkcyjny, w Łodzi — zakład projektowania i konstrukcji oraz zakład doświadczalny, w Wieruszowie — trzeci zakład produkcyjny. I dopiero te trzy ośrodki wyznaczają trójkąt, w którym rozstrzygają się wszystkie sprawy j e d n e g o przedsiębiorstwa.

Trochę to skomplikowane, każdy z tych punktów znajduje się w.. innym województwie i dzieli je odległość około stu dwudziestu kilometrów. Ale — jak się okazuje — nawet w takich warunkach możliwa jest symbioza. Bo o jej istnieniu nie decydują przecież względy geograficzne!

Zanim doszło do powstania takiego modelu przedsiębiorstwa, w małym Wieluniu istniał skromny Zakład Mechanizacji Rolnictwa, w wielkiej Łodzi — Biuro Projektowe Zakładów Przemysłu Metalowego i Elektrotechnicznego „Prozamet". I żyłyby sobie zapewne obie te instytucje dalej w oddaleniu, gdyby nie wzięła je pod swe skrzydła dobra pani matka Integracja (gospodarcza). W tym fakcie nie było zresztą nic dziwnego, bowiem niemal od początku swego istnienia „Prozamet" zdradzał zainteresowanie tym kierunkiem projektowania, który — po kolejnych reorganizacjach i przemianowaniach — stał się specjalnością łódzkiego Zakładu Projektowania i Konstrukcji Galwanizerni i Lakierni — będącego od przełomowego 1971 roku już integralną częścią wieluńskich Zakładów Galwanicznych i Lakierniczych.

W 1950 roku w łódzkim „Prozamecie" powstał trzyosobowy zespół projektantów, z którego desek zeszły pierwsze polskie projekty zmechanizowanych malarni, między innymi dla Fabryki Samochodów Ciężarowych w Starachowicach.

Upłynęło wszakże trochę czasu, zanim zrozumieliśmy potrzebę rozwinięcia samodzielnej produkcji urządzeń lakierniczych i galwanicznych na skalę przemysłową, a w końcu także — całych linii technologicznych do wytwarzania powłok ochronnych. Bazowanie na zagranicznych, drogich urządzeniach na dłuższą metę okazało się niemożliwe.

Żeby to zrozumieć, trzeba uprzytomnić sobie, że straty, jakie w gospodarce światowej (w tym również Polski) powoduje korozja metali, sięgają rocznie wielu miliardów dolarów. Nie ma też przesady w stwierdzeniu, że właściwie wszystko to, z czego korzysta cywilizowany człowiek: od samolotu do budzika czy nożyczek, jest pokryte farbą albo jakąś powłoką bardziej szlachetną, pochromowane albo poniklowane. Żeby sprostać tym rosnącym potrzebom konieczny był szybki rozwój odpowiednich technologii...

Postęp ten dokonał się w ostatnich latach tak gwałtownie, że nie zdążył nawet jeszcze wywołać odpowiednich zmian w świadomości Przychodzącym do biura projektowego ZUGiL młodym inżynierom — absolwentom politechnik galwanizacja i lakiernictwo wciąż jeszcze kojarzą się z... farbą i pędzlem. Nawiasem mówiąc, żadna uczelnia w Polsce nie przygotowuje kadr w tej specjalności, a jest to dziedzina trzeba przyznać — bardzo wymagająca; z jednej strony bowiem specjalistyczna, z drugiej zaś położona na pograniczu wielu innych dziedzin techniki. W tym tkwi chyba podstawowa trudność dla młodych projektantów: po przyjściu do biura ZUGiL muszą oni rezygnować z dotychczasowych swych specjalizacji i zaczynać naukę właściwie od zera...

— *Kiedyś* — mówi inż. Jałocha — *żeby pochromować zderzak samochodowy, trzeba go było najpierw wyszlifować i pokryć miedzią. Potem jedną trzecią część tej miedzi zdjąć, polerując ręcznie. Następnie pokryć zderzak niklem i znów zdjąć jedną trzecią warstwy tego niklu. W końcu zaś — nałożyć cienką warstwę chromu. Do tego wszystkiego przed każdym polerowaniem — umyć zderzak z tłuszczu i pasty polerskiej...*

Był to w całości ręczny proces. Dzisiaj jednak ten — liczący około 30 czynności — proces jest zautomatyzowany i wykonywany przez maszynę jedynie pod nadzorem człowieka.

Długa droga wiodła jednak od powstania trzyosobowego biura projektantów do bez mała półtysięcznego Zakładu Projektowania i Konstrukcji i do liczących około trzy tysiące załogi Zakładów Urządzeń Galwanizacyjnych i Lakierniczych. Dzisiaj Zakłady te są krajowym monopolistą w dziedzinie wytwarzania kompleksowych urządzeń do:

— nakładania powłok lakierniczych,

— nakładania powłok galwanicznych i konwersyjnych,

— suszenia powłok ochronnych i dekoracyjnych,

— mycia i chemicznego przygotowywania powierzchni,

— oczyszczania ścieków i powietrza oraz uzdatniania wody.

Produkcja ta — spektakularnie mało może atrakcyjna dla zwiedzającego fabryczne hale w Łodzi czy w Wieluniu — niełatwo też poddaje się opisom. Chociaż więc inżynierowie, którzy oprowadzili mnie po wydziałach produkcyjnych: dyr. Jan Mikołajczyk z łódzkiego Zakładu Doświadczalnego i kierownik zmianowy PSP w fabryki w Wieluniu — Aleksander Tomczak, starali się pomóc mi w wyobrażeniu sobie pracy tych urządzeń, pominę — by nie nużyć czytelnika — szczegóły technologiczne. Tym bardziej że lepiej jest oglądać ZUGiL-owskie urządzenia w samym działaniu, na przykład we wrocławskim „Polarze" czy w fabryce małych fiatów w Tychach.

Produkcja ZUGiL jest mało efektowna: są to bowiem urządzenia inwestycyjne. Jednakże ich wpływ na wygląd i trwałość wielu ważnych wyrobów rynkowych: telewizora, maszyny do pisania, przedmiotów gospodarstwa domowego, roweru, samochodu — jest ogromny. I o tym warto po prostu pamiętać.

2.

Odwiedzając ZUGiL interesowałem się przede wszystkim korzyściami, jakie płyną z symbiozy — w ramach jednego przedsiębiorstwa — projektanta i wykonawcą. Pod tym względem ZUGiL jest przedsiębiorstwem nietypowym. W swej branży pierwszym, choć już nie jedynym (na podobnej zasadzie działają wchodzące w skład tego samego Zjednoczenia Modernizacji Przemysłu Maszynowego „Techma" zakłady: „Technamtrans" w Radomiu, specjalizujący się w urządzeniach do transportu technologicznego oraz „Elterma" w „Świebodzicach, produkujący kompleksowe linie technologiczne do obróbki cieplnej — z własnym biurem projektowym w... Warszawie).

Mówi mgr inż. Marian Zabiegała: — zastępca dyrektora ZUGiL do spraw produkcji:

— *Kiedyś łódzki zakład projektował dla nas, ale był niezależny. Połączenie z nami umożliwia lepsze zgranie planów produkcyjnych z projektowymi. Zakład Projektowy myśli teraz „pod nas", pod nasze możliwości, potrzeby, technologię...*

Mgr inż. W. Jałocha — dyrektor Zakładu Projektowania:

— *Dzisiaj łatwiej jest nam się dogadać, prowadzimy stałe konsultacje. Z drugiej zaś strony — ponieważ znamy się coraz lepiej — możemy zrezygnować z obowiązku każdorazowego uzgadniania wielu szczegółów wykonawstwa. Mamy tu, w biurze projektowym, stałe rozeznanie w możliwościach magazynów, w aktualnym wyposażeniu i oprzyrządowaniu zakładów. Staramy się tak projektować konstrukcje, aby nie zaskakiwały producenta i obciążały równomiernie jego zdolności produkcyjne. Poza tym — w chwili, gdy występują trudności i ograniczenia materiałowe — bliski kontakt projektanta z wykonawcą pozwala bardziej efektywnie i racjonalnie gospodarować materiałami. No, a w sferze psychologicznej bardzo ważną rolę odgrywa podobnie rozumiane przez obie strony, wspólne poczucie odpowiedzialności — za jedną sprawę...*

Trudno jest sobie wyobrazić sukcesy, które w ostatnich latach stały się udziałem wieluńskiego ZUGiL, bez istnienia własnej bazy projektowo-konstrukcyjnej i badawczej. Zasługą ludzi z tej bazy jest rozwiązanie, wypróbowanie i wprowadzenie do produkcji wielu oryginalnych pomysłów technologicznych, a między innymi:

— wyeliminowanie zagrożenia toksycznego z technologii produkcji galwanizerni,

— wprowadzenie obróbki ścieków, w której do czyszczenia nie używa się tak deficytowej dzisiaj wody, ale brudnych ścieków rozcieńczonych chemikaliami o właściwościach neutralizujących,

— uruchomienie (po raz pierwszy — w łódzkiej Fabryce Zegarów) linii do malowania w polu elektrostatycznym. Ta pochłaniająca dużo mniej energii metoda polega na wytwarzaniu pola elektrostatycznego między aparatem natryskowym, a przedmiotem malowanym: pole to współdziała w rozproszeniu materiału malarskiego i skierowuje naładowane elektrycznie cząstki na malowany przedmiot,

— wprowadzenie do przemysłu tzw. napylarek elektrostatycznych, w których zamiast farb ciekłych stosuje się, i coraz szerzej — farby suche, proszkowe. Metoda ta pozwoliła zwiększyć grubość powłoki przy jednokrotnym tylko malowaniu, wyeliminować w zasadzie straty farby (wykorzystywanej tu w 99 procentach!) oraz ograniczyć zanieczyszczenie środowiska człowieka,

— wprowadzenie do przemysłu linii malowania elektroforetycznego (osadzanie się cząstek farby na powierzchni zanurzonych w niej przedmiotów dokonuje się pod wpływem przepływającego prądu),

— zastosowanie automatyki w urządzeniach galwanicznych i lakierniczych, często o charakterze pionierskim. W tej dziedzinie projektanci z ZUGiL podchwytują każdą, godną uwagi nowość.

Więź projektantów z producentem pozwoliła nie tylko szybciej niż inni włączyć się do nowych technologii, ale w wielu wypadkach także skracać drogę od projektu do realizacji, a także ściślej wiązać ze sobą kolejne fazy: od konstrukcji po pierwsze próby.

Mówiąc o korzyściach, jakie wypłynęły ze związania projektowego i naukowo-technicznego zaplecza z producentem, nie sposób nie podkreślić roli, jaką ma czas.

Normalny cykl od zamówienia do realizacji urządzeń, niezbędnych na przykład dla produkcji ZUGiL (choćby wentylatorów), trwa u nas dwa lata. Tymczasem fuzja projektanta, producenta i generalnego dostawcy pozwala skrócić ten termin. ZUGiL — aby sprostać rosnącym, krajowym i zagranicznym zobowiązaniom musiał stać się samowystarczalny. Nie można oglądać się na krajowych kontrahentów, jeżeli na przykład zamówienie na dostawę malarni dla fabryki rowerów w Iraku trzeba zrealizować (od projektu do montażu) — w pół roku! (jest to czas, który w „normalnych warunkach" wystarcza tylko na projektowanie...).

A tempo liczy się coraz bardziej. Rosną też eksportowe zobowiązania wieluńsko-łódzko-wieruszowskiego przedsiębiorstwa (od roku 1981 produkcja na eksport ma zwiększyć się dwukrotnie), co z jednej strony tłumaczy się naturalną dynamiką rozwoju firmy, z drugiej zaś — kurczeniem się krajowego rynku zbytu, w związku z ograniczeniami w budowie nowych inwestycji. Bez umiejętności wykorzystywania czasu trudno jednak będzie myśleć o zdobywaniu zagranicznych rynków, o nowych, zwycięskich przetargach na kontrakty, zwłaszcza dla państw arabskich i afrykańskich.

W tej chwili jest ZUGiL — który w handlu z zagranicą radzi sobie już całkiem nieźle — jedynym w Europie producentem, oferującym cały przekrój urządzeń z „branży powłok". Żadne z zachodnich przedsiębiorstw nie ma równie szerokiego asortymentu produkcji i usług, co ZUGiL, żadne nie łączy „pod jednym dachem" czterech specjalności: budowy malarni, galwanizerni, stacji oczyszczania ścieków i przygotowywania powierzchni. Ponadto ZUGiL nie produkuje urządzeń seryjnych, czyli mówiąc słowami dyr. Jałochy — za każdym razem, za każdym nowym kontraktem sprzedaje coś, co istnieje właściwie tylko w wyobrażeniach projektantów; sprzedaje po prostu swoją myśl techniczną. Zapewnia to dużą elastyczność i operatywność w pracy projektantów i producenta. Gdzie można, korzysta wszakże ZUGiL z możliwości, jakie stwarza typizacja. Podobnie jak mały i duży dom można budować z tych samych cegieł, tak samo np. suszarki do produkcji lodówek i — dajmy na to — kombajnów można produkować przecież z tych samych elementów. Typizacja obniża koszty urządzeń, co z kolei zachęca zagranicznych odbiorców. W hali fabrycznej natomiast pozwala zastąpić „gniazdową" organizację produkcji „potokowym" ustawieniem maszyn. Taką reorganizację przeszły niedawno w wieluńskim ZUGiL linie do produkcji ścian suszarek i kabin malarskich. Dzięki temu czas produkcji tych elementów zmniejszył się o połowę.

— *Nasz zakład chyba dobrze rozegrał szansę, jaką dała mu możliwość zakupienia licencji i to licencji* — dodajmy — *stosunkowo nawet niedrogich* — mówi dyr. W. Jałocha. — *Zachodnim firmom chyba po prostu zależało na nas, a teraz wręcz polecają nas sobie wzajemnie Zakup techniki dał nam wizytówkę wstępu na rynki zachodnie. Jeden z naszych aktualnie najpoważniejszych kontraktów przewiduje dostawę wyposażenia dla fabryki licencyjnego „Ursusa". Argumentem, który zaważył na losach przetargu u „Massey-Fergussona" była gwarancja zachodnioniemieckiej firmy Dueer, od której zakupiliśmy wcześniej licencję.*

3.

Rośnie autorytet ZUGiL w międzynarodowych przetargach, czego dowodem choćby wspomniany „Ursus-Fergusson". Przed „Ursusem" był jednak przecież cały szereg liczących się inwestycji: w przemyśle maszyn żniwnych, sprzętu gospodarstwa domowego, w przemyśle motoryzacyjnym... Swój gwałtowny rozwój — w początkach lat siedemdziesiątych — zawdzięcza ZUGiL powstaniu polskiego fiata (choć jeszcze wcześniej FSO na Żeraniu była pierwszym klientem automatów konstrukcji i produkcji ZUGiL). I szerzej: rozbudowie polskiej motoryzacji (w najbliższym czasie dostarczy np. ZUGiL nową malarnię dla „Jelcza", produkowanego na licencji Berlieta).

Dla Łodzi pomyślne wiatry znad Żerania stworzyły szansę jedną z wielu. Dla Wielunia fiat stał się szansą rozwoju. I nie jest już dzisiaj chyba ważne rozliczanie „kto kogo przejął", Łódź — Wieluń, czy Wieluń — Łódź...

Dzisiaj nie ulega wątpliwości, że stał się ZUGiL czynnikiem miastotwórczym.

Dzięki budowanym przez wieluński zakład blokom, z każdym rokiem zmniejsza się liczba ludzi dojeżdżających do pracy. Siłami załogi ZUGiL wybudowany został piękny kompleks basenów jakiego pozazdrościć Wieluniowi może nawet Łódź... Partycypował ZUGiL w powstaniu przedszkola, w trakcie realizacji jest 10-piętrowy hotel robotniczy z przeznaczeniem na mieszkania rotacyjne dla młodych małżeństw. Istnieje szkoła przyzakładowa z bardzo dobrze wyposażonymi warsztatami.

W większości wieluńskich bloków gotuje się jeszcze na gazie z butli. Z butlami — jak wiadomo — są kłopoty... ZUGiL wyposażył więc nowo powstającą rozlewnię gazu w niezbędne urządzenia. Ponadto z własnej ciepłowni ogrzewa jedno z miejskich osiedli. Niedługo ruszy modernizacja domu kultury.

Napływ nowej techniki i nowych ludzi, szczególnie zaś inteligencji technicznej, wycisnął poważne piętno na obliczu współczesnego Wielunia. Z wolna zmieniają się obyczaje, podniosła się kultura pracy i wypoczynku.

Corocznie z wieluńskiego ZUGiL wyjeżdża za granicę pół setki ludzi, techników i robotników, którzy — w ramach kontraktów z firmami w krajach socjalistycznych, zachodnich i arabskich, montują polskie maszyny i urządzenia na odległych budowach. Uczą się tam, na dobrych wzorach, jeszcze lepszej pracy, podnoszą swoje kwalifikacje.

Mówi inż. Zabiegała:

— *Przyszedłem do Wielunia ze Śląska, z ośrodka o dużych tradycjach robotniczych. W Wieluniu tradycje te były niewielkie, bo — jak by to nie było — zaczynaliśmy tu od chłopów. Porównanie jakości z lat 1971 i 1978 wypada jednak na korzyść najnowszej produkcji, chociaż w tym czasie zdążyła się ona znacznie skomplikować...*

Foto: R. Łucyszyn

Inż. Stanisław Gorzkiewicz i tech. Zenon Bakura przy myjni natryskowej typu BOAG.

FENOMEN Z MAZOWIECKIEJ RÓWNINY

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

Zawiłe są losy ludzi i ich przedsięwzięć. Któż mógł przypuszczać, że wybuch wojny secesyjnej w dalekiej Ameryce w 1861 roku zachwieje posadami fabrykanckich fortun w Łodzi, jednych obali, a innych wyniesie na wyżyny. Że dla Żyrardowa rozpocznie następny rozdział historii. Łódź wiadomo na bawełnie stała. Ale Żyrardów?

W tymże 1861 roku wybrał się w podróż po Europie młody łódzki fabrykant — Karol Wilhelm Scheibler. Zawitał akurat do Hamburga, gdy do portu wpłynął statek zza oceanu, przywożąc wiadomość o wojnie secesyjnej i blokadzie portów na południu Stanów Zjednoczonych. Wiot zrozumiał swoją wielką szansę i wykupił wszelkie możliwe zapasy bawełny. Kiedy z braku surowca stawały łódzkie fabryki, scheiblerowska na Wodnym Rynku pracowała pełną parą. Wtedy też zaczęto poważniej interesować się lnem. Bernard Krusche w Pabianicach produkował nawet tkaniny lniano-jedwabne. Dobre czasy przyszły wtedy dla Żyrardowa.

Historia Żyrardowa zaczęła się

24 czerwca 1829 roku

kiedy jeszcze nie było miasta, ale była już idea stworzenia przemysłu lniarskiego. Wtedy to powstało Towarzystwo Wyrobów Lnianych. Komisja Rządowa Spraw Wewnętrznych Królestwa Polskiego zainteresowała się lnem, jako surowcem dla mającego powstać przemysłu, już w 1822 roku. Ale, aby ta idea stała się rzeczywistością potrzebne były maszyny. A te wynalazł Francuz, Filip de Girard. Miał on 35 lat, gdy Napoleon I w maju 1810 roku ogłosił konkurs na wynalezienie machin do przędzenia lnu. Filip de Girard takie machiny wynalazł i opatentował je w lipcu 1810 roku, ale nagrody w konkursie nie dostał, bo zdaniem jurorów zbyt szybko dokonał wynalazku. Pozwolono mu tylko zbudować przędzalnię lnu na przedmieściach Paryża.

Filip de Girard nie miał jednak szczęścia do swoich rodaków. Fabryka ledwie prosperowała i kiedy w 1815 zaproponowano przeniesienie jej do Austrii na koszt rządu francuskiego, Filip de Girard zgodził się na to z ochotą. Fabrykę przeniesiono do Hirtenbergu koło Wiednia, ale i tam nieszczęsny jej właściciel nie zrobił fortuny. Szukał nawet szczęścia w Chemnitz w Saksonii, gdzie najmował się do pracy. W Austrii wszakże zetknął się z Bouguetem, sekretarzem Ksawerego Druckiego-Lubeckiego. Władze Królestwa Polskiego, zainteresowane w rozwoju gospodarczym kraju ściągały do Kongresówki różnych specjalistów, zaproponowały też Filipowi de Girard przyjazd do Polski.

W 1825 roku był już w Polsce. Otrzymał stanowisko naczelnego mechanika przy Wydziale Górniczym Komisji Rządowej Przychodów i Skarbu. Jeździł służbowo do Anglii, gdzie pełnił rolę rzeczoznawcy przy kupowaniu maszyn, zajmował się budową fabryk w Polsce. Jego pomysły znalazły uznanie jednych, a sprzeciw innych. Ale nie po to go przecież do Królestwa Polskiego sprowadzono. Głównym celem było stworzenie przemysłu lniarskiego. I oto w czerwcu 1829 roku powstało wspomniane już Towarzystwo Wyrobów Lnianych. Rodzi się projekt założenia fabryki, ale nim to się stało, Towarzystwo Wyrobów Lnianych organizowało pokazy, w młynie Ruda na Marymoncie rozpoczęto produkcję eksperymentalną.

Nie trwało to długo, bo wybuchło powstanie listopadowe. W młynie Ruda zamiast przędz len wyrabiano broń, a Filip de Girard w randze kapitana walczył w powstańczych szeregach.

1 marca 1830 roku

powstała nowa firma: „Karol Scholtz i Spółka", do której weszli Jan i Henryk Łubieńscy, Józef Lubowidzki, Piotr Steinkeller i radca handlowy Banku Polskiego — Karol Scholtz. Wprawdzie firma nazywała się „Karol Scholtz i Spółka", ale nie on grał w niej najważniejszą rolę. Kredytów udzielił Bank Polski. W 1831 roku wybudowano przędzalnię na Marymoncie, a w 1833 roku przeniesiono ją do Guzowa nad Pisią, gdzie powstała osada fabryczna od Girarda nazwana Żyrardowem.

Owa osada fabryczna powstała w Rudzie Guzowskiej. Dlaczego akurat tam? Powodów było kilka. Majątek Guzów należał do rodziny Łubieńskich, którzy w Banku Polskim i w spółce niemałą odgrywali rolę. Na Pisi był młyn, co pozwoliłoby wykorzystać energię wodną do napędzania maszyn. W okolicznych wsiach sporo było wolnej siły roboczej. Pobliskie puszcze: Wiskicka i Bolimowska dostarczały drzewa na budulec i dla opalania kotłów. A poza wszystkim okolica słynęła z tradycyjnie dobrze uprawianego lnu. Len z Kozłowic na przykład uznawany był w Królestwie Polskim za najlepszy.

Do budowy fabryki lnu w Rudzie Guzowskiej przystąpiono już w 1830 roku. Projekt przygotował Jan Jakub Gay. Powstanie listopadowe prace budowlane przerwało. Powrócono do nich po powstaniu. Zmieniła się rola i znaczenie Filipa de Girard. Kopalnie i huty przejął Bank Polski. Filip de Girard przestał więc być naczelnym mechanikiem. Mógł się teraz więcej zajmować budową fabryki w Rudzie Guzowskiej, gdzie powstawała też osada robotnicza.

Foto: Autor

24 lipca 1833 roku wszystko już było gotowe. W fabryce zainstalowano 2 200 wrzecion. Wybudowano pięć domów dla 60 rodzin. Zamieszkali tam również dyrektorzy żyrardowskiej fabryki. Filip de Girard został dyrektorem technicznym. Cały swój czas poświęcał na eksperymentowanie i udoskonalanie swoich maszyn. Dla rozwoju techniki było to z wielką korzyścią, dla fabryki — nie.

W 1843 roku kopalnie i huty wracają do Komisji Rządowej Przychodu i Skarbu. Może więc Filip de Girard wrócić do swoich poprzednich czynności, ale w Wydziale Górnictwa ma zbyt wielu wrogów i przeciwników. Wyjechał na urlop do Francji, gdzie umarł 26 marca 1845 roku. W dwa lata później Żyrardów przejął Bank Polski. Ale to nie zmieniło sytuacji fabryki. Spadła jej produkcja, wzrosło zadłużenie. W 1854 roku długi Żyrardowa przekroczyły 600 tysięcy rubli. Bank Polski postanowił Żyrardów sprzedać.

Żyrardowską fabrykę kupili Hille i Dietrich, ten pierwszy ze Śląska, ten drugi z Moraw. Stało się to w roku 1857. Tak zaczął się dla Żyrardowa

nowy okres.

Wprowadzili oni wiele usprawnień technicznych, fabrykę rozbudowali i w 1863 roku osiągnęli wartość produkcji wynoszącą 450 tysięcy rubli, a w trzy lata później przekroczyli milion. Kupili fabrykę, która w 1858 roku dała produkcji za 50 tysięcy rubli. Przez dwa lata zwiększyli wartość produkcji do 180 tysięcy rubli. Gwałtowny skok nastąpił po roku 1861, a więc wtedy, kiedy zaczął się kryzys bawełniany, kiedy plajtowali nie tylko fabrykanci Łodzi, ale i wielu innych ośrodków włókienniczych ówczesnej Europy. Wtedy właśnie nastał dla lnu dobry okres. Surowca nie brakowało. Można było produkować lniane płótno i sprzedawać tym, którzy daremnie oczekiwali na bawełniane.

Fabryka rozbudowywała się, zwiększała produkcję. Rozwijał się Żyrardów. Nie był to jednak proces jednostronny. Rozwijał się bowiem jednocześnie żyrardowski proletariat. Zachodził tu typowy proces, coś jakby ilustracja marksowskiej tezy z „Manifestu Komunistycznego":

„...wraz ze wzrostem przemysłu proletariat nie tylko powiększa swą siłę; jest on skupiany w coraz większe masy, siła jego rośnie i coraz bardziej czuje on tę siłę... Robotnicy zaczynają od tworzenia zjednoczeń przeciwko bourgeois; jednoczą się dla obrony swej płacy roboczej... Tu i ówdzie walka przechodzi w bunty".

W Żyrardowie stało się to w kwietniu 1883 roku. Strajk wybuchł w szpularni. Dołączyła do niego tkalnia. Fabrykanci wezwali na pomoc kozaków, którzy już w Żyrardowie zostali. Doszło do starć z wojskiem, padli zabici i ranni. Aresztowano tych, których uważano za prowodyrów. Hille i Dietrich wystąpili do władz o wysiedlenie zwolnionych z fabryki. Ale to już na nic się nie zdało. Rosła siła proletariatu i rosła jego świadomość. 1 maja 1891 roku — a więc jeszcze na rok przed buntem łódzkim — dochodzi do burzliwych manifestacji w Żyrardowie.

Do robotników żyrardowskich dociera socjalistyczna literatura. Z odezwy „Co będzie?" Komitetu Centralnego Socjalno-Rewolucyjnej Partii „Proletariat" dowiadują się oni, że o swoje prawa trzeba walczyć:

„Przestańmy kurczyć nasze spracowane ręce w bezsilnej rozpaczy; czas abyśmy sami mężnie wystąpili w obronie swoich interesów. Wszak wiemy że jeśli lud pracujący zdobył sobie kiedy jakiekolwiek ulgi, to tylko wtedy jeśli je sam sobie wywalczył, jeśli wystąpił śmiało i zgodnie, jeśli wzbudził strach w rządzie i panach. Więc zamiast jęczeć i cierpieć, łączmy się wszyscy pod jeden sztandar rewolucji socjalnej, zniesmy nikczemny porządek, przy którym każda niedola gniecie tych właśnie, którzy swą ciężką pracą stwarzają wszelkie bogactwa...

Przestańmy więc pytać, co będzie? Będzie tylko to, co sami zdobędziemy, rząd i panowie nic dla nas nie zrobią".

Z powiatu błońskiego, do którego wówczas należał Żyrardów, płyną meldunki do władz carskich w Warszawie. W marcu 1892 roku gubernator warszawski J. Andrejew na podstawie meldunków z powiatu błońskiego donosił generał-gubernatorowi J. Hurce, że w Żyrardowie aresztowano agitatora socjalistycznego, przy którym znaleziono broszurę Warszawiaka pt. „Dzień roboczy". Była to broszura Edwarda Abramowskiego, który pod pseudonimem Warszawiak wydał ją w 1891 roku w Genewie. W czerwcu 1893 roku naczelnik powiatu błońskiego, A. Budziłowicz donosił gubernatorowi J. Andrejewowi, że podczas rewizji u braci Maciejewskich Józefa i Andrzeja w Żyrardowie znaleziono 84 broszury o treści rewolucyjnej i socjalistycznej. A przecież nie były to jedyne meldunki. Nim nadszedł słynny rok 1905, w Żyrardowie w 1903 roku aresztowano 20 członków Polskiej Partii Socjalistycznej i sądzono ich za rewolucyjną działalność.

Dzieje Żyrardowa stanowią jakby potwierdzenie tezy z odezwy „Proletariatu", że robotnicy tylko to zyskają, co sami sobie wywalczą. A przecież mogłoby się wydawać, że Hille i Dietrich nie byli najgorszymi kapitalistami. Żyrardów stanowi bowiem swego rodzaju fenomen. Wybudowano na mazowieckich równinach fabrykę, która stała się największą w Europie. Obok tej fabryki wyrosło miasto, ściśle z fabryką związane. Było to miasto, jak na ówczesne warunki nieźle urządzone. Na 47 szkół elementarnych z powiatu błońskiego w Żyrardowie było 27. Były tu dwie szkoły gimnazjalne, dwie fabryczne, była średnia szkoła techniczna. Do 1912 roku istniało w Żyrardowie seminarium nauczycielskie. Działały 4 biblioteki. Dzięki fabryce zbudowano ochronkę, szpital, przytułek dla starców, kąpielisko, kręglarnię, salę gimnastyczną, resursę dla urzędników fabrycznych, w 1912 roku — Dom Ludowy. Ale wszystko to nie zmieniało, ani nie zmniejszało faktu istnienia kapitalistycznego wyzysku.

Zmieniły się

losy Żyrardowa

w listopadzie 1915 roku, kiedy to w wyniku działań wojennych spłonęła fabryka, a wielu żyrardowian musiało wędrować po świecie za chlebem. W Żyrardowie było głodno i chłodno, mimo że na świecie była już wolność, skończyła się pierwsza wojna światowa. Na początku 1919 roku Kaczmarek, pełniący obowiązki naczelnika policji państwowej w okręgu żyrardowskim, donosił swemu zwierzchnikowi z powiatu błońskiego:

„Mam honor zakomunikować Panu Naczelnikowi iż w dniach 12 i 13 stycznia w Żyrardowie, Wiskitkach i Guzowie o różnej porze dnia odbywały się pochody komunistyczne ze sztandarami, śpiewem i okrzykami: „Niech żyje rewolucja", „precz z rządem Paderewskiego", „precz z wojskiem i białą gwardią", „niech żyje rada robotnicza", „niech żyje czerwona gwardia"..."

W maju 1919 roku ogarnęło żyrardowian niebywałe podniecenie. Nadeszła wiadomość, że państwo przejmuje tamtejsze fabryki. Nie była to — oczywiście — nacjonalizacja. Było to przejęcie fabryki pod przymusowy nadzór, ale dla żyrardowian spragnionych pracy i zarobków nie stanowiło to większej różnicy. Wracać zaczęli z całego kraju, a także ciągnęli tu ludzie z Łowicza, Sochaczewa, Mszczonowa, Błonia, a nawet z Aleksandrowa pod Łodzią, Zgierza i z samej Łodzi. Rządy w żyrardowskiej fabryce objął rzutki i energiczny inżynier Srzednicki.

„Kto widział własnymi oczyma pożar fabryk żyrardowskich fatalnej nocy lipcowej 1915 roku — pisał później Paweł Hulka-Laskowski — temu wierzyć się nie chciało, że tak szybko można było odbudować tyle gmachów spalonych."

Odbudowano. Ale wtedy przyszły dla Żyrardowa bardzo złe czasy. Kiedy z państwowych pieniędzy i zapału żyradowskiego robotnika odbudowywano fabryki, pewien Francuz, Marcel Boussac skupował akcje. I gdy fabryka stanęła i ruszyła, znalazł się nagle jej nowy właściciel, który zażądał zwrotu zakładów, zobowiązując się zwrócić poniesione koszty na odbudowę fabryki. Sprytny i bezwzględny był ten Marcel Boussac. Dał się zresztą wkrótce poznać żyrardowskim robotnikom z najgorszej strony.

Państwo włożyło w odbudowę Żyrardowa 2,6 miliona złotych franków, a Marcel Boussac zwrócił tylko 18 tysięcy. Zasłużył się tak państwu ówczesny minister skarbu, Kucharski. Ale żyrardowian machinacje ministra niewiele obchodziły. Cieszyli się, kiedy fabryka odbudowywała się, kiedy dostawali prace i martwili się, kiedy rzeczy miały się odwrotnie za rządów Marcela Boussaca. W żyrardowskim muzeum wśród wielu ciekawych dokumentów można znaleźć też i podania o pracę. Oto podanie W. Szczepaniak z kwietnia 1934 roku:

„Niniejszym łaskawie proszę Pana Dyrektora o zaofiarowanie mi jakiejkolwiek pracy... Jestem od szeregu lat bez pracy. Rodzice moi pracowali w Zakładach Żyrardowskich po kilkadziesiąt lat. Będąc obarczona trojgiem młodocianych dzieci znalazłam się wraz z niemi w skrajnej nędzy i zupełnie bez środków do utrzymania.

...znajdując się obecnie w nader krytycznym położeniu, zadłużona w zaległym komornem, wyniszczona doszczętnie z dziećmi, bez odzieży, obuwia itp. odnoszę się z prośbą do Wielmożnego Pana Dyrektora o zaofiarowanie mi jakiejkolwiek pracy w możliwie rychłym terminie, z udzielonej mi pracy będę się wywiązywała sumiennie i pilnie."

Nie wiem, czy dyrektor żyrardowskiej fabryki odpowiedział na prośbę, czy dał tak pożądaną pracę. Ale wiem że 26 kwietnia 1932 roku J. Blachowski zabił na ulicy dyrektora tejże fabryki, G. Koechlera właśnie za to, że ten nie dał mu tak upragnionej pracy. I wiem, że to chyba niewiele pomogło, bo w 1936 roku doszło w Żyrardowie do poważnych zajść, na ulicach miasta pojawiły się nawet barykady. Fabryka przeszła pod przymusowy zarząd państwowy.

Ciężko też było w Żyrardowie podczas okupacji. Zginęło wielu robotników. Mimo terroru trwała walka. I kiedy przyszło wyzwolenie, w Żyrardowie mieszkało już tylko 20 tysięcy osób, a nim się wojna zaczęła było tam 30 tysięcy ludności.

Dziś

Żyrardów ma 37 tysięcy mieszkańców. Daje produkcję o wartości 6,5 miliona złotych rozbudowuje się, modernizuje. Obchodząc, przypadającą na 1979 rok, 150 rocznicę powstania Żyrardowa i przemysłu lniarskiego w Polsce mieszkańcy miasta pragną upiększyć go i pozostawić po tych uroczystościach kilka trwałych pamiątek.

CZARNA

Dalszy ciąg ze str. 1

biać straty, ale ostatnie deszcze przyhamowały prace. Aktualnie zasiano 25 tys., ha zbóż jarych, podczas gdy ogólny plan przewiduje 48 tys. ha. Kończy się rozprowadzanie materiału siewnego, przy czym tutaj dochodzi do pewnych odstępstw tyczących się wymiany zbóż co cztery lata: trzeba wysiewać to, co jest, pomagać tym którzy nie mają nasion i organizować wymianę sąsiedzką.

— Ubytki nie dotyczą tylko skutków wylewu rzek. To się chyba ciągnie od ubiegłego roku, prawda?

— No, właśnie. Mokra jesień nie pozwoliła obsiać 3,5 tys hektarów pól. Sporo zasiewów zniszczyła pleśń śniegowa. Trzeba było zaorać dużo rzepaków. Nie wiemy jeszcze, co zrobiły przymrozki. Nie możemy przewidzieć, czy przymrozki nie przyjdą np. w czerwcu, podczas kwitnienia zbóż. Kiedyś już tak było i kłosy były puste...

— A jak ze sprzętem i innymi środkami produkcji?

— Wiadomo, że przez całą zimę pracowały ciągniki i rozsiewacze na zaśnieżonych drogach, a więc maszyn tych nie można było w porę wyremontować. Nasze cztery POM nadrabiają straty i w tej chwili 90 proc. ciągników jest już sprawnych. Wiadomo także że ciężki i mokry ubiegły rok powodował wyższą awaryjność i należało się liczyć ze wzrostem zapotrzebowania na części zamienne. Władze podjęły decyzję, aby przemysł maszynowy dla rolnictwa wstrzymał produkcję finalną i dawał w zamian więcej części zamiennych. I przemysł daje, ale całe zespoły do wymiany. To bardzo drogi interes, zupełnie nieopłacalny. Aby wybrnąć z sytuacji staramy się zapobiec „chomikowaniu" części. Jeden ma więcej takich części, drugi innych, niech więc wymieniają się albo pożyczają sobie po prostu. Generalnie udało nam się zaopatrzyć rolników w nawozy, choć z pewnym opóźnieniem. W tej skomplikowanej sytuacji cieszy fakt, że znakomicie udały się ziemniaki i równie dobrze, wbrew przewidywaniom, przechowały się w kopcach, tak że teraz nie trzeba ich parować. Cieszy również fakt, że mimo niesprzyjających warunków rolnicy wierzą, iż uda im się szybko nadrobić zaległości. Włączają się do konkursów podejmują dodatkowe zobowiązania. Tam, gdzie nie można wejść ze sprzętem mechanicznym, uprawiają ziemię końmi i obsiewają ręcznie...

Jadąc do Warty mogłem się przekonać, że faktycznie wszędzie widać całe rodziny zajęte pracą na obeschniętych kawałkach gruntu. Tej wiosny jeszcze raz wyszła na jaw stara prawda, że mimo ogromnego wzrostu techniki praca na roli wciąż uzależniona jest od warunków atmosferycznych.

Miasto Warta zagrożone było trzykrotnie, zwłaszcza wtedy, gdy puściły wały w Koninie i wówczas, gdy utworzył się zator lodowy w okolicy Poddębic. Na szczęście saperzy uporali się szybko z zatorem, kra przeszła łatwo i w porę, ale było już bardzo groźnie; woda podeszła do Małkowa i do ulicy Nowotki, stała w szklarniach u Grendy. Przez jezdnię do Łodzi zaczęło się już przelewać, ale rolnicy byli czujni i gdzie mogli, przekopywali nawet wały, aby nie dopuścić do zalania. Przez kilkanaście dni mieszkańcy Warty mogli podziwiać przyszły obraz naturalnego zbiornika Jeziorsko, którego pierwsze obwałowania wypełniły się wodą. Jeziorsko będzie kiedyś dobrodziejstwem dla gminy, regulując stosunki wodne na powierzchni 6 tysięcy hektarów, rzecz jasna także w gminach ościennych. Rolnicy przyzwyczaili się do kaprysów rzeki, zawsze była loteria, drugi pokos siana przeważnie przepadał. PZU płacił, ale na co komu pieniądze, kiedy paszy nie ma? A poza tym łąkę trzeba przygotowywać od nowa; wypalić zwały zbutwiałej trawy, przebronować.

W tym roku atak wody stał się bardziej odczuwalny. Chciano kompleksowo nawozić łąki, ale nie można na nie wjechać, a w takich wsiach, jak Lipiny, Mogilno i część Rososzycy, ziemniaki będzie można sadzić dopiero w maju. Bo połowa gminy (wschodnia część) jest niezmeliorowana. Ruszyli tam już agromelioranci i sami rolnicy, żeby czyścić zamulone rowy, nie tylko te zagrożone. Nie ma na co czekać, wystarczy bowiem wykopać 50 m rowka, żeby osuszyć hektar gruntu. No i wziąć się za łąki, pełne kretowisk, kamieni i gałęzi. Kto nie uprzątnie łąk, ten nie otrzyma kosiarki rotacyjnej; bo tych, ze względu na brak części zamiennych, w województwie jest sprawnych zaledwie 60 procent. W suchszej części gminy, na zachód od Warty prace są w pełnym toku; nikt nie czeka na pomoc SKR która pracuje na dwie zmiany.

— Na razie trzeba było przyorać 150 ha zbóż, które „wypadły" — mówi naczelnik miasta i gminy, Stanisław Kowalczyk — ale będzie zapewne więcej. Poważne szkody powstały wskutek zimy na drogach. Myśmy stracili z budżetu 650 tys. zł na samo odśnieżanie. Za to można by zbudować kilometr dobrej drogi, albo kilka kilometrów żwirówek. Najgorsza jest droga z Warty do Cielc, musimy ją szybko naprawić. Inne tak samo, bo przecież 10 autokarów musi dowieźć dzieci do filii i szkół zbiorczych.

— Co mówią rolnicy na temat opóźnienia w pracach polowych?

— Niektórzy są trochę załamani. Ale nie ma się czemu dziwić, skoro muszą po raz drugi wydawać pieniądze na nawozy, które zmyła woda, i powtórnie orać, siać, bronować. Nie w pełni też możemy zaspokoić wszystkie potrzeby wsi. Ale nie z naszej winy. Brakuje nasion seradeli, łubinu, koniczyny; owsa otrzymaliśmy 3 tony zamiast zamówionych pięciu. Pod dostatkiem jest nawozów fosforowych i azotowych, ale z kolei ludzie nie mogą dostać węgla za kontraktowane mleko i mięso. Nie ma czym dowieźć go z hałd. A tu już trzeba znowu martwić się

CHLEB NASZ...

BOGDA MADEJ

Chleb towarzyszy człowiekowi od najdawniejszych czasów. Egipcjanie już 6000 lat temu potrafili piec chleb przypominający ten dziś wypiekany. Słowianie nauczyli się piec chleb od Gotów. Wiele ludów do dziś piecze chleb przypominający placki. Również i u nas pieczono do niedawna podpłomyki, na Kaszubach — plince. Z chlebem wiąże się wiele obyczajów i zwyczajów. W broszurze wydanej w 1674 roku pt. „Dworstwo obyczajów", nieznany autor pisze: „Czemu chleb, kiedy z trafunku na ziemię upadnie, całujemy podniósłszy? — bowiem chleb jest święty". U szlachty i u zamożnych chleb zawsze leżał na stole. Dostojnych gości i dziś wita się chlebem i solą. Mówimy: — chleb nasz powszedni. Jaki jest ten chleb?

Przypominam te fakty z dziejów chleba i polskich zwyczajów, aby uświadomić nam, jak ważne w wyżywieniu człowieka jest to, co dziś poniewiera się po sklepowych półkach, schnie i czerstwieje, bo nie zawszę znajduje nabywcę, albo nie w porę dociera do sklepu. Zwroty nie sprzedanego chleba wynoszą dziennie w Łodzi od 4 do 5 ton, a zamawia się go około 145 ton. Na przykład w tygodniu poprzedzającym wolną sobotę w marcu tego roku, zwrócono ze sklepów 30,1 ton chleba. To dużo, choć piekarze pocieszają się, że w innych województwach jest pod tym względem znacznie gorzej. Ale dla nas, zjadaczy chleba, żadna to pociecha. Bo my na ogół na chleb narzekamy:

— że najczęściej jest nieświeży,
— że źle wypieczony, bo skórka nim odstaje, albo trudno go krajać,
— że kruszy się przy krajaniu,
— że jest niesmaczny,
— że jest gliniasty,
— że w sklepie, gdzie akurat kupujemy, jest mały wybór.

Przedstawiciele piekarzy wymienili mi tyle gatunków chleba, jakie piecze się w Łodzi i dostarcza do łódzkich sklepów, że zdumiałam się ogromnie i wstyd mi było, iż nie bardzo wiem na przykład, jak wygląda i smakuje chleb skandynawski. Chleb staropolski kupiłam zupełnie przypadkowo, gdyż po prostu nie było innego. Ale dialibóg, zupełnie nie potrafię znaleźć w jego smaku różnicy, jaka miałaby go dzielić od innych chlebów razowych. I zarówno ja, jak i inni klienci sklepów spożywczych nie bardzo wiemy, jaki jest sens w tworzeniu coraz to nowych gatunków i nazw chleba, skoro w naszym, osiedlowym sklepie, gdzie się wszyscy zaopatrujemy w artykuły spożywcze, ciągle mamy tylko jeden gatunek chleba — mazowiecki, albo poznański — i to najczęściej czerstwy. A w prywatnej piekarni obok, od rana już ustawiają się kolejki po chleb.

W WSS „SPOŁEM" w Łodzi, w oddziale produkcji powiedziano mi, że dzieje się tak dlatego, gdyż prywatny piekarz, czyli rzemieślnik, jak go się tu fachowo nazywa, daje do swego sklepu chleb niemal prosto z pieca, ciepły jeszcze, pachnący i przez to smaczny. On jest rzemieślnikiem, a oni producentami. Jest w tym niewątpliwie prawda, a ilustruje ją już choćby to, że piekarniami zajmuje się oddział produkcji, który ma również pieczę nad wytwarzaniem wody sodowej, pieczeniem ciastek, wyrabianiem tego, co się nazywa ogólnie garmażem. W natłoku tych spraw pieczenie chleba staje się zajęciem nie tak ważnym, jakim jest dla klienta sklepu.

Przedstawiciele piekarzy powiadają, że owszem sporo mają trudności, aby dostarczyć, jak najświeższy chleb do sklepów, ale też sporo winy w tym, że dociera on do klienta czerstwy, leży po stronie handlu. Ideałem byłoby, gdyby chleb prosto z pieca docierał do sklepu, ale to nie jest możliwe.

Województwo łódzkie miejskie zaopatrywane jest w pieczywo przez 3 wielkie piekarnie, które wypiekają w ciągu dwu zmian, czyli przez 16 godzin, po 37 ton chleba i 500—600 tysięcy bułek. Oprócz tego chleb dla tego rejonu piecze 26 mniejszych społemowskich piekarni. Ten chleb trzeba rozwieźć codziennie do około 1200 sklepów. A wiadomo, jak u nas jest z transportem.

Foto: R. Łucyszyn

Na dobrą sprawę do nikogo nie powinniśmy mieć pretensji, bowiem cała wina leży w... koncepcji. Kto tę koncepcję wymyślił, tego już dziś nikt nie wie. Zresztą, to już nie ma żadnego znaczenia. Swego czasu zapanowało dążenie do tworzenia gigantów. Zaczęto więc likwidować małe piekarnie, budować kolosy. W zapędach likwidatorskich posunięto się tak daleko, że wylano chleb wraz z zaczynem. Dziś usiłuje się znów otwierać małe piekarnie, tylko nie ma wielu chętnych do tego. Przeprowadzono lustrację zamkniętych piekarń lub tych, w których urządzono już inne warsztaty, wytypowano 10 do ponownego otwarcia, ale do tej pory udało się to w trzech przypadkach. Czy uda się w pozostałych siedmiu?

Koncepcja była może i dobra, bo nie tylko u nas buduje się duże piekarnie, jako że rośnie ludność w miastach i trzeba jej dać chleb powszedni. Ale obok dużych piekarń jednocześnie powinny funkcjonować małe, aby w sklepie był większy wybór chleba. U nas też można sobie w pieczywie powybierać, ale nie w sklepie spożywczym, tylko w branżowym. Takich sklepów jest w województwie łódzkim miejskim 37. W Zgierzu, Ozorkowie i Konstantynowie po jednym. W Pabianicach — 7. Na Widzewie — 2. Na Górnej i Polesiu — po 5. W Śródmieściu — 7, na Bałutach — 8. Z tego rachunku wniosek prosty, że nie ma takich sklepów na Retkini, Widzewie-Wschodzie, Chojnach, gdzie budują się nowe dzielnice i mieszkają już dziesiątki tysięcy ludzi.

Małe piekarnie prywatne, czyli — rzemieślnicze, bo to lepiej brzmi, odgrywają wcale niemałą rolę w pieczeniu chleba dla mieszkańców miasta i okolic. Oblicza się, że dają one od 30 do 40 procent tego, co dociera do sklepów, lub jest sprzedawane przy piekarniach rzemieślniczych. Nim wiele prywatnych piekarni zlikwidowano, ich udział musiał być znacznie większy. Gdyby jednak w miejsce zlikwidowanych zbudowano inne, to być może i więcej mielibyśmy chleba świeżego.

Zależność jest dość prosta. Obecnie możliwości nie wystarczają dla zaspokojenia potrzeb Łodzi i okolic. Kiedy więc zbliża się jakieś święto, albo wolna sobota, to trzeba upiec więcej chleba, aby go zmagazynować i dostarczyć do sklepów. Chleb więc dociera już do sklepów czerstwy — przynajmniej w naszym pojęciu — ale według normy jest on nadal... świeży. Norma bowiem przewiduje, że chleb mazowiecki można sprzedawać w ciągu 36 godzin od wyjęcia z mechanicznego pieca. Klient w sklepie nie wie jednak, kiedy chleb był pieczony, chleba bowiem teraz się nie oznacza. Kiedyś piekarz firmował swój chleb nalepką. Dziś tego już się nie robi. Przyklejaniem kartek do chleba zajmowało się w Polsce 300 osób, zrezygnowano więc w państwowych i spółdzielczych piekarniach z takiej czynności, a ludzi skierowano do innej pracy, tam gdzie byli bardziej potrzebni w piekarniach. Ale, czy jest to wystarczające wyjaśnienie?

Teraz szuka się innego sposobu znakowania chleba. Trwa to jednak dość długo. Czy jest to rzeczywiście tak trudny problem do rozwiązania?

Nie mając możliwości szybszego dostarczania chleba do sklepów, nie dysponując właściwą ilością samochodów, nie mając niezbędnych możliwości wypiekania takiej ilości chleba, aby można tym było pokryć potrzeby Łodzi i okolic, piecze się więc chleb na zapas. Trudno, aby taki chleb był świeży, kiedy klient dotknie go na półce sklepowej. Ale coś trzeba w tej sprawie robić.

Z pomocą przychodzi nauka. Opracowano już sposoby przedłużania świeżości chleba. Tyle, że wątpimy czy sztuczna ingerencja w naturalne procesy, jakie zachodzą w cieście poprawi smak chleba.

Lud polski dawno doszedł do wniosku, że „nie z każdej mąki będzie chleb". Norma polska określa, że w mące powinno być minimum 24 procent glutenu, czyli białka wiążącego wodę. Powinno być, a nie ma. Zdarzają się i takie partie mąki, w której jest od 12 do 20 procent glutenu. Z takiej mąki dobrego chleba się nie upiecze.

W mące, po zmieleniu, jeszcze przez pewien czas zachodzą procesy biologiczne. Im mąka gorszej jakości, tym dłużej to trwa, niekiedy i do 21 dni. Norma jednak pozwala tworzyć zapasy mąki na 14 dni. A ponieważ piekarnie dostają mąkę nie najlepszej jakości, zdarza się i tak, że procesy biologiczne trwają nawet i wtedy, kiedy mąka jest już użyta do ciasta, kiedy zaczyna się proces pieczenia chleba.

Nie wszystkie młyny dostarczają złą mąkę. Młyn „Szymanowo" dostarcza na przykład mąkę bardzo dobrą. Wszyscy chcą mieć mąkę z młyna „Szymanowo". Ale dlaczego ten młyn robi dobrą mąkę, a inne złą — tego nikt jakoś nie potrafi wytłumaczyć.

Piekarze chcieliby wiedzieć, z jakiego młyna będą stale otrzymywali mąkę i jaką ta mąka ma wartość. Chodzi o swego rodzaju „przywiązanie" młynów do piekarń, o stworzenie warunków stałej współpracy — aby z młynem można się było „dogadać", w dobrym tego słowa znaczeniu. Ciągle jest to postulat, który nie może stać się rzeczywistością.

Co się więc robi, aby mąka była lepsza? Pisze się pisma, zwołuje narady, zgłasza reklamacje i pobiera się kary konwencjonalne. W 1978 roku zgłoszono na przykład pod adresem młynów 5 tysięcy reklamacji. W pierwszym kwartale 1979 roku — już 200 reklamacji. W 1977 roku młyny zapłaciły łódzkim piekarniom pół miliona złotych kary, w 1978 roku — już 2,5 miliona złotych. Piekarze zgodnie jednak twierdzą, że od reklamacji i kar chleb lepszy nie będzie.

Piekarze świadomi są swoich braków. Dobrze to o nich świadczy. Ale nic z tego nie wynika. Rozkładają bowiem bezradnie ręce: — nie wszystko od nas zależy. Jest w tym jakaś prawda, choć i bardzo to wygodne stwierdzenie, bo rozgrzesza z winy, odsuwa odpowiedzialność. Trudno jednak zaprzeczyć, że część winy za to, że klient ciągle na sklepowej półce spotyka czerstwy chleb, ponosi handel. Nie dysponuje on np. właściwymi regałami do układania chleba w sklepie; miesza się w sklepach partię chleba świeżego i suchego, w nadziei, że może klienta da się nabrać.

Piekarnie, które chleb pieką i sklepy, które ten chleb sprzedają, należą jednak do tej samej organizacji handlowej: do WSS „SPOŁEM". Przeprowadzając reorganizację handlu tłumaczono klientom, że czyni się to nie tylko dlatego, żeby zmniejszyć administrację, ale i w interesie klienta, bo teraz będzie łatwiej całością zarządzać. Czy ilość urzędników istotnie się zmieniła, tego nie wiem, choć podejrzewam, że nie, ale z przytoczonych przykładów widać wyraźniej, że wcale nie jest teraz łatwiej zarządzać jednocześnie wytwórczością artykułów spożywczych i handlem, że przedsiębiorstwa należące do jednej organizacji mimo wszystko mają trudności w nawiązaniu kontaktów, porozumieniu się i wspólnym działaniu dla dobra klienta.

A nam się marzy smaczny chleb. Po prostu.

ZIEMIA

o sprzęt do oprysków, bo po mokrym roku będą w polach chwasty jak cholera. Na szczęście rolników mamy dobrych, zaangażowanych. Nie dają się kłopotom i nie czekają do czerwca, aż woda opadnie. Wszyscy wiedzą, że na wodę nie ma rady. Jest gorsza niż ogień, bo ogień można zlokalizować, ale wodę trudno zatrzymać...

I sekretarz KMG PZPR, **Stanisław Nowak**, stwierdza, że jak dobrze pójdzie, to znaczy, gdy utrzyma się pogoda (a w nocy znów lało!), a do końca kwietnia zakończy się sadzenie ziemniaków i siew jęczmienia. Oczywiście, nie na terenach przy rzece. Na przykład wieś Lipiny, która ma grunty nie drenowane, leżące na gliniastym podłożu, będzie mogła wjechać na pola w drugiej połowie maja.

— Rolnicy tak określają sytuację: kiedyś zawijało się rękawy do łokcia, teraz trzeba do ramion, żeby wygrzebać się z błota. I nie narzekać, tylko pracować. Dla powodzian z województwa ostrołęckiego zebrano 35 ton ziemniaków i 30 tys. zł w gotówce. Żona tamtejszego wojewody, Migzy, pochodzi z Warty, jakże więc nie pomóc swojakom? Myślę, że warto, chociaż z opóźnieniem, podziękować ludziom z Glinna i Woli Zadąbrowskiej, którzy zimą, bez wezwań, samorzutnie wychodzili do odśnieżania dróg. A obecnie na szczególne uznanie zasługują mieszkańcy Tomisławic, Zagajów i Piotrowic, którzy tak gremialnie stanęli w niedzielę do naprawy dróg. Oni są świadomi, że wspólnie, czynem społecznym, można nadrobić wiele zaległości i usunąć szkody.

Jednym z tych rolników był właśnie Antoni Kucharski.

W Tomisławicach zrobił się popłoch, bo woda na szerokości ponad dwóch kilometrów, podeszła na odległość 50 m od zabudowań i łódką można było jeździć. Gorzej było w Zaspach, gdzie zalało 20 gospodarstw, ale tam nikogo nie ewakuowano, bo gospodarstwa są wykupione pod zbiornik Jeziorsko, bez produkcji. A w Tomisławicach, na terenie najniższym, gdzie woda waliła z pól i z rzeki, **u Andrzeja Pawłowskiego** krowy stały zamoczone po brzuchy. Pawłowski z opon traktorowych i z desek skonstruował ponton, na którym docierał do zabudowań sąsiadów. Wszyscy się martwili, żeby rzeka nie porwała im promu.

— Ja mam za rzeką 85 a pola i 80 a łąki, ale są tacy, co mają i pięć hektarów. Jeszcze teraz nie można wjechać, bo w polnej drodze dziury po kolana, wóz by się wywalił, a koń połamał nogi. Pola były obsiane żytem i pszenicą, a PZU nie przyjeżdża. Co robić? Ano, jak chłop może wjechać na pole, to nie powinien czekać. Poszedłbym jako sołtys, dobrał ludzi do komisji i ocenił straty. Ziemia nie może czekać na urzędników. A Sam muszę wszystko robić, bo jak na nieszczęście syn, któremu przekazuję gospodarstwo, akurat teraz nogę złamał...

Grubiakowi, Kulce i Mamotowi zgniły ziemniaki. Żeby pomieszczenia obsuszyć, trzeba węgla, a tego nie można dostać, nawet za odstawione świniaki. Przydałoby się więcej saletrzaku, bo ziemie na górkach słabsze. A tu na dodatek mamy zmieniać pokrycia dachowe. Starzy nie wiedzą, co ich czeka, może zabiorą pod zbiornik? Nic nie robią, twierdząc że najlepiej stąd uciekać.

— Panie Antoni, kiedyś rolnik miał więcej czasu.

— Na karty się chodziło do sąsiadów. Przykład: ja zbieram trzy razy tyle siana, co mój ojciec. Więcej roboty. Ale nie tylko to. Pogoda się zmieniła i zmienił się dawny cykl pracy. Były małe żniwa, odpoczynek, duże żniwa, odpoczynek, wykopki. Teraz nie, wszystko się wali naraz. W zeszłym roku zbierałem siano w maju, teraz zbiorę w czerwcu. Siano może się połączyć ze sprzętem rzepaku. I tak do końca roku, same spiętrzenia. Mógłby popadać krótki, ale siarczysty ciepły deszcz majowy, to może by spłukał brudy, bo nasze łąki są szare i na trawę się nie zanosi.

— Opóźnienie nie wpłynie na plony?

— Będą niższe. Ze względu na krótszy okres wegetacji. A nie daj Boże, żeby było długie, suche, bezdeszczowe lato bo wtedy wegetacja zostanie zahamowana. Tylko że nie trzeba zawczasu załamywać rąk. U nas robota nie stoi, po drugiej stronie drogi sieje się i sadzi, a jak woda zejdzie za rzeką, można przejechać kultywatorem konnym, ziemia szybciej przeschnie i zaległości odrobi się w tydzień. Może trochę dłużej potrwa z ziemniakami, bo trzeba wywozić i rozrzucać obornik...

Rolnicy znad Warty twierdzą, że przyroda i tak okazała się łaskawa, bo gdyby południową Polskę dosięgły takie opady śniegu, jak na północy i w centrum, skutki byłyby nieobliczalne. Mają rację. Dotychczas budowaliśmy zbiorniki retencyjne na terenach górskich. W tym roku nie zostały one wykorzystane. Sulejów i Jeziorsko będą jednymi z pierwszych zbiorników retencyjnych na terenach nizinnych. Potrzeba ich znacznie więcej i o tym warto myśleć już teraz. Należy również pamiętać, że brakuje nam 2000 km wałów ochronnych, a kilka tysięcy kilometrów wymaga modernizacji. Tegoroczna zima i wiosna ujawniły, że jeśli szybko nie zabierzemy się do tych inwestycji, co roku gospodarka żywnościowa może ponosić duże straty, bo na stabilizację warunków klimatycznych nie ma co liczyć.

Teraz cała nadzieja nie tylko w pogodzie, ale przede wszystkim w ludziach. Kucharski mówi, że chłop nie patrzy na straty i dodatkowe koszty, byle tylko mógł zacząć uprawiać ziemię. Bo chłopa nie musi pilnować żaden majster, ani popędzać go do roboty.

To brzmi optymistycznie. Myślę, że kiedy ten reportaż ukaże się w druku, na polach będzie sucho i zielono.

RYSZARD BINKOWSKI

Hitlerowskie Więzienie w Radogoszczu — jego funkcjonowanie i tragiczny finał — oto treść filmu dokumentalnego, który powstał w Ośrodku Telewizji Polskiej w Łodzi. Dziś przedstawiamy Czytelnikom scenariusz filmowy w jego oryginalnym układzie. Ten wstrząsający dokument hitlerowskich zbrodni w Łodzi ukaże się na antenie telewizyjnej w najbliższych dniach.

MICHAŁ WALCZAK

SCENARIUSZ filmu

OBRAZ

Apel w Radogoszczu.

TELEKINO 16 mm
DŹWIĘK STUPROCENTOWY

Archiwalne zdjęcia płonącego budynku, płonących ciał więźniów, ludzi szukających ciał bliskich.

DŹWIĘK

— DŹWIĘK ORYGINALNY —

— Czyta lektor Kroniki Filmowej w 1945 roku:

Operator Polskiej Kroniki Filmowej dokonał w Radogoszczu zdjęć w kilka godzin po ucieczce Niemców.

Jeszcze płoną ciała pomordowanych.

Na dymiących pogorzeliskach mieszkańcy Łodzi szukają zwłok swoich najbliższych.

TK 16/nieme — plansza
„Zbrodnia na Radogoszczu"
Liternictwo proste

— NA CISZY —

TK 16/nieme
fotosy, dokumenty:

— makieta fabryki Abbego — plan ogólny
— fragmenty fabryki
— zdjęcia fabryki-więzienia
— wieżyczki, druty kolczaste
— skrzyżowania ulic w 1939 roku
— aresztowani
— egzekucja
— aresztowani
— apel w Radogoszczu
— bieg na apel
— więźniowie
— zdjęcie Pelzhausena (z legitymacji — autentyk z okresu służby w Łodzi)
— więźniowie pędzeni na apel
— Pelzhausen z wizytą SS
— grupa członków hitlerowskiej załogi
— rozstrzeliwanie więźnia
— „rodzinne" zdjęcie załogi
— więźniowie — panorama po twarzach

MUZYKA — LEKTOR

Późną jesienią 1939 roku hitlerowskie władze okupowanej Łodzi zainteresowały się bawełnianą fabryką Samuela Abbego. Ustawiono wieżyczki strażnicze, podwyższono mury, pojawiły się druty kolczaste. Tak u zbiegu ulic Zgierskiej i Sowińskiego, w północnej dzielnicy miasta, powstało „poszerzone więzienie policyjne Radogoszcz".

Codziennie zwiększa się ilość aresztowanych. Rozpoczynają się egzekucje — publiczne w mieście i potajemne w lasach wokół Łodzi. Wielu Polaków u progu swej okupacyjnej drogi trafia do Radogoszcza.

Od początku warunki pobytu były tu bardzo ciężkie. Stały się straszne, od kiedy 1 lipca 1940 roku komendantem Radogoszcza został WALTER PELZHAUSEN. Zapamiętajmy to nazwisko. Przez cztery i pół roku „dowodził" zabijaniem i katowaniem przeszło 40 tysięcy więźniów, którzy przewinęli się przez więzienie policyjne „Radogoszcz". Sam także zabijał. Tak jak wielu innych z ponad 50-osobowej załogi.

Sprawnie funkcjonował Radogoszcz w systemie wyniszczenia „elementu polskiego" w Warthegau — „kraju Warty".

Więźniowie na apelu.

TK 16/100%
Antoni Galiński . . . . . .
w planie przy biurku wśród akt śledztwa

(czyta)...

NA DŹWIĘKU ORYGINALNYM LEKTOR:

— po pierwszym zdaniu —

Mówi magister Antoni Galiński z Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi.

— DALEJ — DŹWIĘK ORYGINALNY —

Najistotniejszym dokumentem w sprawie są protokoły zeznań świadków, zgromadzone w bardzo dużej ilości w aktach śledztwa Okręgowej Komisji. Zacytuję tutaj kilka zeznań świadków w sprawie, które oddają w sposób najbardziej jaskrawy panujące warunki w więzieniu, prowadzące do wyniszczenia więźniów.

Swiadek HENRYK STRZELECKI: — ...w tym samym czasie inny współwięzień, którego nazwiska nie znałem — pochodził z Łodzi, był średniego wzrostu — dojrzał przed więzieniem swoją żonę z dzieckiem. Odsunął mnie, by popatrzeć na żonę i dziecko. W tym czasie padł strzał z dołu, strzelił wartownik, którego nie znałem nazwiska, młody wiekiem, wysokiego wzrostu i szczupłej budowy ciała. Więzień otrzymał postrzał w głowę i poniósł śmierć na miejscu.

Inny świadek zeznaje o znanym fakcie zbrodni na terenie Radogoszcza, chyba najbardziej, mianowicie zastrzelenie grupy więźniów tylko za to, że jakoby ukradli bochenek chleba. Jest to świadek, HENRYK MIELCZAREK: — Z racji pełnionej funkcji byłem naocznym świadkiem rozstrzelania w dniu 1 kwietnia 1942 roku 9 więźniów za kradzież, zaznaczam — domniemaną — przez nich 2 bochenków chleba z kuchni więziennej.

Swiadek ANTONI FELIKS GRABSKI zeznaje: — ...podczas tych apeli, wachmani ustawieni w szpaler, co 2-3 metry jeden od drugiego, stali i trzymanymi w ręku przedmiotami, pejczami, bili biegających więźniów po wszystkich częściach ciała. Pejcze z reguły zakończone były kawałkiem ołowiu. Powodowało to w chwili uderzenia nie tylko dotkliwy ból, ale i obrażenia w postaci cięć skóry oraz innych obrażeń. Celem każdego więźnia było więc ochraniać twarz i oczy. Jednakże, niektórzy, mimo tego nie ustrzegli się ciosów. Sam widziałem dwóch więźniów, którym podczas takiego apelu wybito oko.

TK 16/nieme c.d.
fotosy:

— więźniowie na apelu
— zbliżenia twarzy więźniów

MUZYKA — LEKTOR

Takim był los więźniów do nocy z 17 na 18 stycznia 1945 roku. Wtedy przyszły godziny najstraszniejsze.

TK 16/nieme — arch.

filmowe zdjęcia archiwalne zrobione przez operatorów radzieckich i polskich w styczniu 1945 roku
Tlące się resztki więzienia, zwłoki więźniów na klatce schodowej, wokół więzienia, rodziny szukające bliskich

UWAGA: NA CISZY — LEKTOR

Przedstawiamy unikalne archiwalne zdjęcia wykonane tuż po wyzwoleniu więzienia.

Oto rezultat zaplanowanej i przeprowadzonej z zimną krwią akcji likwidacji więźniów. Pod wodzą PELZHAUSENA oprawcy rozstrzeliwali ofiary w salach, potem podpalili budynek. Do uciekających przed spaleniem się żywcem — strzelali. Z przeszło 1500 więźniów ocalało nie więcej jak 30. 9 żyjących do dziś świadków opowie za chwilę jak się uratowali.

TK 16/nieme c.d.
makieta więzienia
pokazać miejsce usytuowania zbiornika z wodą

MUZYKA — LEKTOR

Dziś wiemy, że były trzy sposoby ratowania życia. STEFAN FENGLER, BOLESŁAW POPŁAWSKI i FRANCISZEK ZARĘBSKI WYBRALI ZBIORNIK Z WODĄ.

TK 16/100%
Mówią świadkowie
Stefan Fengler — rencista, Kępno . . . . . .

Bolesław Popławski — pracownik umysłowy — Łódź . . . . . .

— DŹWIĘK ORYGINALNY —

„Dobrze po północy, otwierają się drzwi, Niemcy... strzelają do nas z erkaemów i z pistoletów maszynowych. Myśmy rozpoczęli wszyscy razem śpiewać „Boże coś Polskę". Różnie to wyglądało, niektórzy klękali, modlili się, płakali, krzyczeli.

Czołgając się pod pryczę koło komina jakimś cudem wydostałem się cały.

Poczuliśmy swąd, ogień, paliło się. Wtedy z kolegą Przybylskim i innymi więźniami udaliśmy się do zbiornika na trzecim, bodaj piętrze, gdzie zanurzaliśmy się, nurkowaliśmy w wodzie, przykrywając się desk... kocami, jakimiś szmatami, gdzie było bardzo gorąco i duszno, gdzie płomienie nawet były na klatce schodowej. Wtedy myśleliśmy, że to jest nasz koniec, że wtedy już nie wyjdziemy stamtąd i zostaniemy, jak inni więźniowie, wykończeni".

„Będąc na sali trzeciego piętra, nie uciekałem, tak jak inni na dach i później wyskakiwali, gdzie ich strzelano, ale jak zapaliło się trzecie pię-

dokumentalnego „Zbrodnia w Radogoszczu"

od Autora

Film ten powstał przy współpracy działaczy Okręgowej Komisji Badania Zbrodni Hitlerowskich w Łodzi i Muzeum Ruchu Robotniczego w Łodzi.

Za pomoc i cenne wskazówki w pracy nad scenariuszem autor składa podziękowania.

Załoga więzienia w Radogoszczu. W środku — Pelzhausen.

TK 16/nieme
makieta — wskazanie drogi ucieczki

TK 16/100%
Mówią świadkowie
Bolesław Wcisło — rencista, Praszka . . . . . :

Franciszek Brzozowski — rolnik, Zielęcin, woj. piotrkowskie . . . . . :

Konrad Salamon — fotograf, Szczecin . . . . . :

Franciszek Zarębski — rencista, Kcynia . . . . . :

tro, podłoga, wyskoczyłem na klatkę schodową i tu wpadłem w dym, ogień, który klębił się tu pod dachem. Bo dach był cały i tu dusiło, po prostu, no, piekło. Wtenczas doskoczyłem do rezerwuaru, który znajdował się obok, tutaj, tej ściany. To był prostokątny odcinek gdzieś o wymiarach, stąd, o tak — dotąd, wysokości metr dwadzieścia, bo sięgało gdzieś tak do piersi — napełniony wodą. Polewałem się tą wodą — ale to nic, mało pomagało, więc weszłem do wody razem z innymi więźniami i nas tam znalazło się sześciu więźniów. Ponieważ piekło, ogień i dym dusił, więc my przykryliśmy się dwoma kocami, które więźniowie mieli, no i polewaliśmy wodą.

Ach, mało pomagało to, dusiło, no, ale w każdym razie przetrwaliśmy to, dopóki runął dach, spalił się dach. Dopiero wtenczas przeciąg, wywiew tego ognia i dymu już nie groziło uduszenie się tutaj. Wtenczas wyszliśmy z tej wody, z tego rezerwuaru i w kąciku, tu za rezerwuarem, no, jeden do drugiego przytuleni, przebyliśmy cały dzień, ponieważ nie można było zejść, gdyż Niemcy na dole nadal, jeszcze tutaj pilnowali tego więzienia, no, wywozili więźniów zastrzelonych z ulicy i tu, w rogu kopali, zakopali".

„To było zupełnie do góry W tym zbiorniku byłem i tam zostałem ocalony. Tylko... jak długo, jak długo? Trudno powiedzieć, bo człowiek stracił zupełnie orientację w czasie i stracił przytomność, trudno to określić.

Wiem tylko tyle, że już piekło na ziemi przeżyłem".

MUZYKA — LEKTOR

Skok z płonącego dachu na niższe, nie istniejące dziś budynki, wybrali: BOLESŁAW WCISŁO, FRANCISZEK BRZOZOWSKI i KONRAD SALAMON.

— DŹWIĘK ORYGINALNY —

„Ja zeskoczyłem już z tego dachu, z tego ognia, to już ostatni zeskoczyłem na dół. Opaloną miałem rękę, jedną dotąd, dopóki rękaw sięgał marynarki, drugą — dotąd, pół ręki i pół głowy miałem opalone i prawą nogę tutaj. Bo but zgubiłem, nawet nie wiem gdzie i nie wiem jak i kiedy zgubiłem. To mnie to w ogóle nie bolało. Gdy człowiek dzisiaj oparzy się papierosem, to człowieka boli i dmucha, do soli zimnej włoży, żeby nie bolało. Popalone miałem to tak sobie ściągnąłem po rękawie, bo mnie tak paliło coś, to panie mi skóra schodziła, zaciągnąłem z powrotem, bo widzę, że ciało widać, a że mnie bolało, to mnie w ogóle nie bolało, tylko mnie tak swędziało i paliło".

„Ja tam byłem wysoko na dachu, bo podczas pożaru udało mi się wyjść na dach, tak jak i innym, no i podczas pożaru tam chodziłem po tym dachu. Strzelali do mnie, ale później wyjrzałem raz na dół, wysoko było mi skoczyć, drugi raz wyjrzałem — wysoko. A trzeci raz już nie wyglądałem, tylko skoczyłem.

Jak teraz jest tam ta wysokość najwyższa i skoczyłem na halę niższą, jeszcze tu jest znak w tym miejscu. Tam leżałem dwa dni i dwie noce, dopiero w piątek się przecuciłem rano".

„No więc, kiedy widzę, że języki ognia zaczynają wydostawać się z dolnych pięter i zaczynają po prostu lizać smołę roztopioną nim. Na pewno, w następnej chwili już dach zaczął się palić i wszystko, wszyscy więźniowie reszta, która tam pozostała, wpadnie w ogień. Pchnięty jakąś ostateczną myślą, że chyba śmierć w płomieniach to jest gorsze, niż upadek, niż wyskoczenie, niż samo roztrzaskanie się. Decyduję się właśnie na ten skok, no, w stronę północną. Widzę, że tam raczej najwięcej więźniów, z tej strony skacze. Szybko przylegam do samego brzegu, jeszcze sprawdzam czy ci więźniowie, którzy zeskoczyli, poruszają się w jakiś sposób. Patrzę że tak. Momentalnie, ześlizguję się po prostu, w pozycji leżącej na ten, na dach, bo to nie był typowy zeskok tylko zsunięcie się. Wiem, że to do dziś bardzo dokładnie pamiętam, jak lecąc w dół czułem obrót, że się obracam naokoło swojej osi. W następnym momencie straszliwy ścisk całego ciała, jak bym był zmiażdżony czymś. No, później stwierdzam, no cóż, żyję, przecież, jeśli czuję to i żyję"

MUZYKA — LEKTOR

Trzecia grupa więźniów ratowała się skacząc na zabitych i spalonych, leżących między budynkiem a tylnym murem.

Mówią: TADEUSZ DYLA, RAFAŁ ŻARNECKI i FRANCISZEK JUSZCZAK.

— DŹWIĘK ORYGINALNY —

„Zaczęliśmy się ratować żywi. Ja drugi wyskoczyłem spośród tych więźniów. Jak upadłem na dół, nie wiem. Przeżegnałem się tylko w trakcie wyskoku i złapałem się od zewnątrz muru i wyskoczyłem. Tak, że jestem tu ranny w głowę. No i gdy zeskoczyłem, jak długo leżałem — nie wiem. Gdy oprzytomniałem, zauważyłem, że człowiek wchodzi na ten obserwator, który tam do dziś jeszcze stoi. Tam weszłem"

„Tutaj. Tutaj w tym miejscu, z drugiego piętra skakaliśmy na stos palących się trupów. Widząc niebezpieczeństwo i nie mając innego wyjścia, zauważyłem, że inni więźniowie po tej drabince dostają się na tą obserwacyjkę. I ja też po tych... po tej drabince dostałem się na tą obserwacyjkę, gdzie 12 nas ułożyło się jeden obok drugiego. Tutaj Niemcy po pewnym czasie rzucili nam granat, który jeden ze współwięźniów wyrzucił na zewnątrz i granat rozerwał się poza obserwacyjką. Następnie, po jakimś czasie zrzucili nam znowu granat, który rozerwał się już wewnątrz, wewnątrz obserwacyjki. Straciłem w tym czasie, w tym momencie straciłem świadomość, którą odzyskałem o zmroku i obudził mnie, po prostu, przywołał do świadomości warkot samolotu przelatującego nad prawdą, palącym się więzieniem".

„Podpalony był obóz, to się wszystko paliło. Dym dusił w oczy i wcale nie można było oddychać. Tośmy zsuwali trupów i tłukliśmy okna, aby był przewiew do, do cel. Kiedy to już — i to było zbyteczne — zaczęli kuć dziury pod oknem. To był taki problem, jeden miał sposób, że była ta klatka zniszczona trochę to jakieś przyrządy mieli, że to te dziury pod oknem wykuli. Ja z tej dziury skorzystałem. Też zacząłem ją kuć, więc kiedy już tę dziurę wykułem a widziałem że ten ciężar, który leży na sali, że za chwilę to się załamie, więc ja mówię tak: — nie będę już czekał, tylko wyskoczę i zabiję się i nie będę cierpiał w tym ogniu. Bo byłem samotny. Wtedy, kiedy akurat ten dym zaklębował, panie i sądziłem, że mnie nikt nie widzi i wysunąłem się i zrobiłem wyskok. Zrobiłem wyskok. A wtedy, w tym zeskoku postrzał w piersi. Kiedym zeskoczył już na dół, to był taki materac złożony z tych trupów. Jeden padł tak, drugi tak, na krzyż. Jak ja wyskoczyłem, proszę pana, to tak nogi zawiesiły mi się na trupach, ręce na trupach, a ja tylem nie dobiłem do tego i nic mi się nie uszkodziło. Ani nogi, ani ręki, nic sobie nie zepsułem. Wtedy się jakoś wygramoliłem tak z tego, z tych trupów i jeszcze czapka mi się paliła, z głowy czapkę zgarnąłem na bok i była taka halda węgla, co brali do kuchni. I tam to wybrane, a tam była taka dziura i panie to łysiało. Mówię tak: — ja się tam dostanę do tego, to mnie to przykryje i tam się uratuję. Panie, ale byłem słaby, nic nie mogłem zrobić, bo zacząłem drapać ten węgiel i nie udało się nic. I widziałem, że były schódki nie przepalone do tych obserwacji i wszedłem do tych obserwacji i tam przebyłem do wieczora. I na wieczór uciekłem stąd".

MUZYKA — LEKTOR

Z tych strasznych chwil nie zachowały się zdjęcia. Jedynie ten rysunek nieznanego dziś autora.

Taki był los ofiar. A oprawców?

Walter Pelzhausen wydany Polsce, osądzony w 1947 roku, wysłuchuje na tych zdjęciach wyroku śmierci.

Część członków załogi poniosła zasłużoną karę. Ale nie wszyscy. Nie ponieśli także kary odpowiedzialni za funkcjonowanie w latach okupacji Radogoszcza i innych więzień i obozów w Łodzi.

Nie poniósł żadnej kary Verner Ventzki — do 1943 roku nadburmistrz Łodzi, typowy zbrodniarz „zza biurka".

Nie odpowiedział za swoje czyny Otto Bradfisch — następca Vernera Ventzkiego i szef łódzkiego gestapo.

Obaj mieszkają w RFN, a adres Bradfischa — Monachium, Ballanstrasse 209.

MUZYKA — LEKTOR

Radogoszcz wiosną 1979 roku — dzielnica Łodzi przy ruchliwej trasie E-16.

— MUZYKA —

TK 16/nieme
makieta — wskazanie drogi ucieczki

Pelzhausen — po wydaniu go władzom polskim.

TK 16/100%
Mówią świadkowie
Tadeusz Dyła — rencista, Zelów . . . . . :

Rafał Żarnecki — urzędnik, Kalisz . . . . . :

Franciszek Juszczak — rolnik, woj. kaliskie . . . . . :

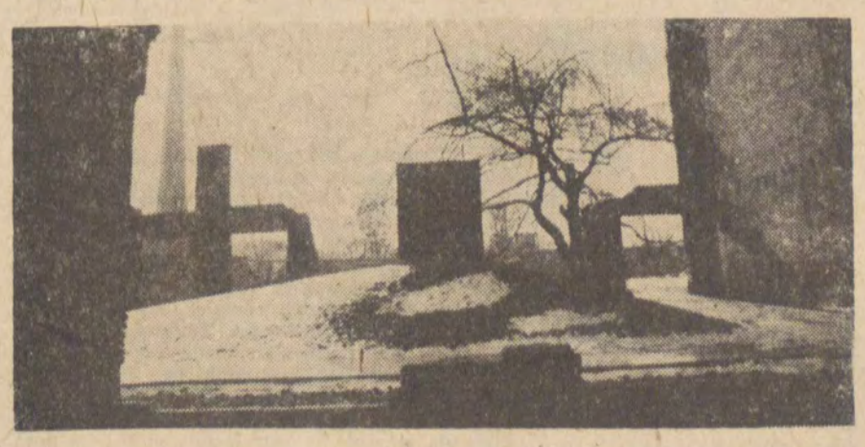

Radogoszcz — Mauzoleum

TK 16/nieme
rysunek przedstawiający sceny z nocy 17/18 stycznia 1945 roku

TK 16/nieme — archiwalne
Zarejestrowana w 1947 roku scena ogłaszania wyroku
Fotosy — dokumenty
— hitlerowska załoga więzienia
— zdjęcia hitlerowskich oprawców okupowanej Łodzi, zrobione w czasie uroczystości urodzin Hitlera
— zdjęcie V. Ventzkiego
— dokumenty Ventzkiego
— zdjęcie Bradfischa

TK 16/nieme
współczesny Radogoszcz — widok miasta i mauzoleum

TK 16/nieme
PLANSZE KOŃCOWE
Scenariusz i realizacja: Michał Walczak
Zdjęcia: Zbigniew Tuliński
archiwum WFD i OKBZH w Łodzi
Dźwięk: Wiesław Pełczyński
Montaż: Bożenna Głuszczak
Kier. produkcji: Wielisława Rokicka

podłączeni do wszechświata

ANDRZEJ WILCZKOWSKI

To co chcę przedstawić, można śmiało nazwać hipotezą, ale już słowo — naukową — nie będzie zupełnie na miejscu. Uprawiając poletko naukowe w ściśle określonej dziedzinie, dość odległej od poruszanego tematu, dobrze rozumiem kruchość mojej wiedzy i rozległość obszarów niewiedzy. Niemniej przez cztery lata zbierając argumenty, okruch po okruchu, nie napotkałem ani w literaturze ani w rozmowach z ludźmi lepiej obeznanymi z poruszanym zagadnieniem nic, co by zachwiało moje przekonanie o prawidłowości poniższych przemyśleń. Nie znalazłem ani jednego argumentu, który przemawiałby na swoją niekorzyść. Nie znaczy to wcale, że takich argumentów być może nie ma.

Teza brzmi: **Organizm zwierzęcy i ludzki posiada układ regulacyjny sterowany z zewnątrz. Impulsów sterujących dostarcza otaczający nas wszechświat w najogólniejszym tego słowa znaczeniu.**

Karty wyłożyłem, teraz spróbuję uzasadnić tę dość śmiałą hipotezę.

Hoimar von Ditfurth w książce Dzieci Wszechświata na zakończenie swojego wspaniale logicznego wywodu wygłasza takie oto zdania:

„Cała Droga Mleczna ze swymi 100 miliardami słońc była potrzebna, aby narodziło się to, co nas otacza każdego dnia".. i dalej:

„Ta sama nauka, która zdemaskowała złudzenie i wiarę w Ziemię, jako centrum Wszechświata, przygotowuje nam obecnie zrozumienie tego, że obraz świata ostatnich czterech wieków był naprawdę tylko złym snem". I wreszcie ostatni cytat: **„Jest to nasz wszechświat. On nas stworzył i utrzymuje nas przy życiu".**

Człowiek mimo przewrotu kopernikańskiego ciągle jeszcze ma tendencje do uważania siebie za istotę wyjątkową, a to z kolei wywołuje chęć traktowania organizmu ludzkiego jako układu — mniej lub więcej — ale zamkniętego.

Spróbujmy jednak iść dalej po linii rozumowania wytyczonej przez von Ditfurtha. Jeżeli życie jest dziełem wszechświata, trudno przypuścić, aby to dzieło po akcie stworzenia oderwało się od macierzy i w dalszym ciągu, niejako na bieżąco nie ulegało wpływom wszechświata.

Mamy zresztą liczne dowody tego wpływu. W pewnym okresie życia Ziemi wyginęły zamieszkujące ją jaszczury. Von Ditfurth łączy ich zagładę z mającym miejsce w tym czasie przebiegunowaniem ziemi, któremu towarzyszył zanik „ochronnej" siatki pola magnetycznego. Trudno powiedzieć czy temu najlepiej przystosowanemu gatunkowi, jakim były jaszczury, zabrakło pola magnetycznego jako elementu niezbędnie potrzebnego do utrzymania egzystencji, czy też zniknięcie pola odsłoniło stworzenia na działanie innych czynników, które w niewielkich dawkach były im do życia i rozwoju niezbędne — w dużych zniszczyły gatunek, oczyszczając pole dla innych mniej zaadaptowanych, które potrafiły się przystosować do nowych warunków.

Odchodząc od „Dzieci Wszechświata" przypomnę jeszcze, że stan plam na Słońcu wpływa na roczny przyrost miazgi drzew — co zostało udowodnione, natomiast koronnym moim argumentem niech będzie zjawisko fotosyntezy — spirytus movens wegetacji roślin.

To ostatnie zjawisko stymuluje dalszy krok w rozumowaniu. Otóż mało prawdopodobne jest, aby zdobycze organizmów niższych były całkowicie odrzucone przez organizmy wyższe. Te ostatnie, w naszym dzisiejszym zrozumieniu żyją niejako „z drugiej ręki", przetwarzając dopiero na własne potrzeby to, co rośliny stworzyły czerpiąc bezpośrednio z zasobów energii słonecznej — a więc energii pochodzenia pozaziemskiego.

Argument niektórych moich dyskutantów, że człowiek w takim przypadku musiałby być zielony, trąci demagogią. Korzystanie z zasobów wszechświata mogło przybrać różne formy i nie musi odbywać się koniecznie na tej jednej jedynej dobrze poznanej przez nas drodze. Natura tworząc ogromne bogactwo form stale udoskonalała swoje wynalazki i tego też należy oczekiwać po niej przy przechodzeniu z form niższych do wyższych.

Zróbmy więc założenie, że człowiek w swojej egzystencji czerpie również coś ze wszechświata i postawmy dwa pytania — co i którędy.

Ogólnie rzecz biorąc, może wchodzić w grę jedynie masa lub energia. Transport masy w organizmie jest już raczej dobrze znany. Pozostaje więc energia.

Warunki otoczenia, takie jak ciśnienie, pole grawitacyjne i temperatura, wyznaczają pewien poziom energetyczny, w którym prosperuje organizm żywy i wpływ tych parametrów jest znany. Pozostaje jednak jeszcze jeden czynnik otoczenia, którego wpływ na organizm ludzki jest wyraźny chociaż słabo zbadany. Otóż żyjemy w czymś co na roboczo nazwę polem drgań. Użyłem tego dziwnego terminu, ponieważ jest on na tyle nienaukowy, iż można w nim zmieścić zarówno fale sprężyste, elekromagnetyczne jak i fale de Broglie'a, nie gubiąc się przy tym w problemach dualizmu falowo-korpuskularnego. Ośmielę się tu nawet dołożyć niedawno odkryty tzw. szum wszechświata.

Ruch drgający, czy jak kto woli — falowy, STWORZONY PRZEZ NATURĘ został jedynie odkryty przez człowieka, który nauczył się go użytkować i wytwarzać do swoich celów. Reprezentowane są tu wszystkie częstotliwości — od infradźwięków (poniżej 16 Hz) poprzez dźwięki i ultradźwięki (na tym kończy się zakres fal sprężystych) i dalej, a nawet częściowo równolegle przychodzi widmo fal elektromagnetycznych aż do częstotliwości 10^{22} Hz. Tu na razie rozciąga się granica naszego poznania.

Obiektywne istnienie tych fal, niezależnie od naszej pilnej działalności oraz fakt, że co najmniej część z nich jest pochodzenia pozaziemskiego, sygnalizują zarówno radioteleskopy jak i liczniki Geigera-Müllera. Każda fala niesie ze sobą energię. Twierdzenie to jest truizmem, ale już pytania — jaki jest ogólny poziom energetyczny otaczającego nas pola i co się dzieje z tą energią — pozostają jak gdyby bez odpowiedzi. Absorbcja i ekstynkcja nie wyjaśniają wszystkiego, bowiem nie można postawić znaku równości pomiędzy pochłanianiem i rozpraszaniem, a zagładą energii. Ponadto część energii dociera do naszego ciała, a więc wygląda na to, że musi ono brać udział w tych procesach.

Najbardziej odczuwalny i najlepiej zbadany jest wpływ na organizm człowieka zakresu fal sprężystych. Znamy wpływ infradźwięków, dźwięków, a za pracę przy ultradźwiękach pobiera się dodatek zdrowotny. Zbadano częstość drgań własnych masy wątroby, żołądka, i innych narządów, stworzono pojęcie choroby wibracyjnej.

Niemniej już w tej dziedzinie jest ogromne pole niewiadomych, cały szereg znaków zapytania, które wymykają się badaczom. Znacznie gorzej nam idzie z zakresem fal elektromagnetycznych. Podczerwień, promieniowanie widzialne, ultrafioletowe i dalej, przez promieniowanie Roentgena aż do promieni gamma, wszystko to na nas jakoś działa, tylko nie zawsze wiadomo jak. A przede wszystkim nie wiemy którędy reprezentowana przez te fale energia przenika do organizmu.

Postawmy na wstrząsarce odbiornik radiowy. Zwiększając częstotliwość drgań od zera, uzyskamy taki efekt, że zaczną się odkręcać śruby, urywać podzespoły, w końcu coś się rozpadnie. Radio jednak nie zagra, nawet gdybyśmy włączyli zasilenie. Tak już zostało skonstruowane przez nas samych, że posiada specjalne receptory, czułe na konkretne częstotliwości, które dają założony przez konstruktora efekt. Czy tego modelu w jakiś sposób nie można użyć w odniesieniu do człowieka? Radio jest w naszym umyśle nierozerwalnie związane z pojęciem anteny. Pojęcie anteny kojarzy się nierozerwalnie z pojęciem metalowego pręta, chociaż nie jest do niego adekwatne. Czyż metalowy pręt nie kojarzy się z igłą akupunktury?

Pewien polski uczony — biolog — ostrzegał mnie tymi słowy przed użyciem argumentu akupunktury. Nieupoważniony do publikowania nazwiska spieszę zapewnić, że to naprawdę człowiek wielkiej miary.

„...akupunktura jest pewnym tabu, którego fizyk, chemik, inżynier i lekarz, w ogólnej swej masie ci ostatni nie wezmą „w zęby". Po prostu nie wiadomo co z tym zrobić w skali znanych metod badawczych. Dlatego też hipoteza pańska może być ciekawa dla nich, ale proszę nie zaczynać od akupunktury. Co innego, jeśli w ostatnim zdaniu dojdzie do tego, albo lepiej i nie. Proszę się nie dziwić, jest tyle punktów widzeń, tyle utartych kanonów naukowych".

Tak. Już wcześniej sprawdziłem, że to słowo jest rzeczywiście niepopularne. Akupunktura stanowi jednak niejako punkt centralny mojej hipotezy i dlatego nie mogłem dłużej zwlekać.

Otóż wydaje mi się, że igłę akupunktury wprowadza się po prostu w miejsce, przez które i tak przedostaje się do naszego organizmu sygnał o konkretnej częstotliwości, przy czym igła jest jedynie anteną, która wzmacnia pożądany bodziec. Punkty akupunktury ułożone są symetrycznie według ściśle już wyznaczonych linii zwanych merdianami. Jedynie punkty, na które działamy celem uśmierzenia bólu, są powiązane z zakończeniami nerwowymi. Inne nie dają bodźca bólowego. Punkty te odpowiadają w ciele ludzkim miejscom o obniżonym potencjale elektrycznym i zmniejszonej oporności. Igła w początkowej fazie jest silnie chwytana przez ciało, aby po kilkunastu minutach wypaść sama, albo dać się wyciągnąć bez oporu.

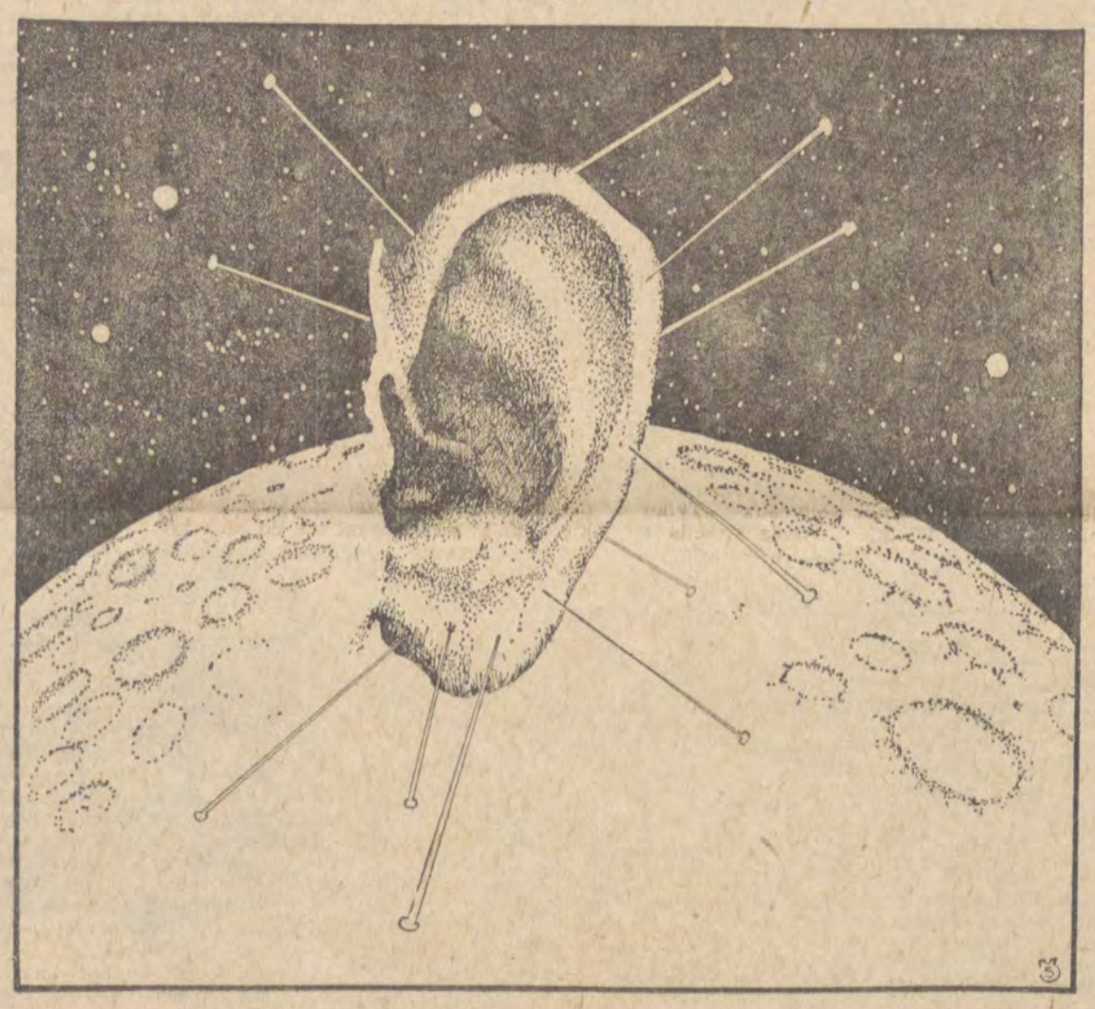

Rys. Janusz Szymański-Glanc

Część punktów należy do systemu uspokajającego, część do pobudzającego. W pierwszych stwierdzono przepływ prądu (nie doprowadzonego z żadnego określonego źródła) od wnętrza organizmu ku skórze; w drugich przepływ prądu jest odwrotny. Stwierdzono również coś w rodzaju efektu półprzewodnikowego. Zmierzono oporność pomiędzy dwoma symetrycznie odpowiadającymi sobie punktami akupunktury. Jeżeli pacjent nie miał akurat dolegliwości związanych z tymi właśnie punktami, oporność posiadała konkretną wartość R niezależnie od tego w którą stronę przeprowadzony był pomiar. W przypadku choroby oporność w jedną stronę różniła się o konkretną wartość od oporności mierzonej w drugą stronę.

Wiemy, że działanie na pewne schorzenia zależy od miejsca, w które wbije się igłę. Igła wprowadzona w nadgarstek leczy gruźlicę, a w okolice łokcia cholerę.

Wyjaśnienie jest proste, jeśli założymy, że przez każdy z punktów wchodzą selektywnie sygnały o różnych częstotliwościach. Inne długości fali działają na prątki Kocha, inne na zarazki cholery. Promieniowania o pewnych częstotliwościach i odpowiednim poziomie energetycznym zabijają znacznie bardziej skomplikowane organizmy (sprawdzono to nie tylko na myszach). Trudno przypuścić, że nie spowodują śmierci mikroorganizmów. W większości przypadków promieniowania doprowadzają do zagłady organizmu nie działając nań totalnie (chyba, że w grę wchodzi ogromna energia), ale dezorganizując pewne układy organizmu. Promienie Roentgena na przykład wprowadzają niepowtrzalane zmiany w strukturze białka.

Organizm ludzki powstał i wykształcił się w zupełnie innych warunkach pola drgań. Jeśli przyjąć założenie, że to pole interweniuje w nasze życie, wprowadzając przez receptory zwane punktami akupunktury pewne ilości energii o ściśle określonych częstotliwościach, to to, z czym się spotyka organizm ludzki przez ostatnie siedemdziesiąt lat, odbiega całkowicie od warunków do jakich był stworzony. Nie wiem czy wszyscy zdają sobie sprawę z tego na przykład, że żyjemy oblepieni wprost częstotliwością 50 Hz t.j. częstotliwością sieci energetycznej. Wystarczy przyłożyć palec do wejścia na płytki oscyloskopu katodowego, aby się o tym przekonać. Na ekranie pojawi się bowiem natychmiast sinusoida o częstotliwości 50 Hz. A więc cały galimatias drgań wypuszczanych przez nas w tzw. eter, zmienił w ostatnich latach parametry pola, do którego przystosowały nas wieki egzystencji gatunku homo sapiens. Fale interferują, zdudniają się, sygnały odbierane przez nasze receptory są inne zarówno jeśli idzie o częstotliwość jak i niesioną energię. Stąd może być tyle chorób z nieprzystosowania i nerwic (ostatnia uwaga psychiatry).

A więc czyżby nauka przegapiła jakiś układ w naszym organizmie? Ostatnie badania wskazują na to, że rzeczywiście przytrafić się jej mógł taki passus. Otóż prof. Kim Bong Han odkrył podobno taki układ, ściśle połączony z punktami akupunktury, bardzo rozgałęziony, którego guzki rozsiane są po całym organizmie i spełniają role regulacyjne. Gwoli ścisłości muszę dodać, że stwierdził tam przepływ masy nie energii. To mi jednak w niczym nie przeszkadza. Po pierwsze może tam również krążyć energia, a po drugie układ ten podobno produkuje pewne substancje. O ile mi wiadomo, każda przemiana chemiczna wymaga podniesienia stanu energetycznego materii i ta konieczna ilość energii nazywa się energią aktywacji.

Tu zresztą kończy się moje zadanie. Chciałem bowiem przede wszystkim zwrócić uwagę na to, że nie wszystkie procesy energetyczne w naszym organizmie zależą wyłącznie od tego, czy zjedliśmy dobry obiad czy nie.

Jest jeszcze jeden przykład, który moim zdaniem świadczy o tym, że jesteśmy w stanie magazynować energie pochodzenia zewnętrznego, która z wolna rozładowując się może nam pomagać w życiu, lub też spustoszyć organizm. To tragiczny przykład choroby popromiennej. W Nagasaki wybuch bomby atomowej zniszczył dwa szpitale. Były one mniej więcej jednakowo odległe od epicentrum wybuchu. Ci, którzy nie zginęli, zostali ewakuowani. W pierwszym szpitalu liczba zgonów sięgnęła w ciągu kilku pierwszych tygodni trzech tysięcy osób. W drugim nie umarł nikt. W tym szpitalu leczono akupunkturą.

Trudno wyobrazić sobie groźniejszy obraz szalejącego wszechświata z całą gamą prezentowanych przezeń częstotliwości fal niż ten wybuch. Pole drgań, które na krótko otoczyło ludzi, niosło ze sobą również ogromne ilości energii. Istnieją dwie możliwości. Albo ta energia natychmiast spowodowała zmiany w budulcu ciała ludzkiego i wówczas należy założyć, że były to zmiany odwracalne, albo też, że energia została zmagazynowana, a następnie powoli rozładowując się w organizmie, siała spustoszenie w żywych komórkach. Jeżeli było tak — należy założyć, że została odprowadzona przez zbawcze igły. Trzeciej możliwości nie widzę.

Za hipotezą, że energia doprowadzona z zewnątrz leczy, przemawiają również zdjęcia Kiriljanowskie. Wystarczy porównać fotografię palca znachora w stanie normalnym, kiedy wokół niej widać jedynie niewielką fioletową aureolę i w trakcie seansu leczniczego, gdy zbliżony do pacjenta palec obramowany jest grzywą żółtoczerwonych promieni. Należy dodać, że aby uzyskać efekt Kiriliana należy ciało umieścić w bardzo silnym polu magnetycznym. Logiczne byłoby założenie, że słabe pole, np. ziemskie, powoduje te same efekty, tylko słabsze i niewidoczne dla oka.

Wychodząc z koncepcją wpływu pola drgań na organizm ludzki zbliżyłem się jedynie do tego, czym Chińczycy od dawna tłumaczyli działanie akupunktury. Według nich światem rządzi prawo rytmicznej zmiany. Wszystkie zdarzenia i organizmy podlegają działaniu dwóch sił — podstawowych elementów świata: Jang i In. Równowaga między tymi siłami powoduje swobodny przepływ energii witalnej przez organizm i znamionuje stan zdrowia (por. odkryty przez badaczy radzieckich efekt półprzewodnikowy).

Powiedziawszy o Chińczykach, nie mogę nie wspomnieć o Hindusach. **„Prana, czyli siła życiowa — wyjaśnia Joga Rama Czaraka — jest wszędzie i we wszystkim. Prana jest to energia powszechna, a jeden z przejawów Prany zowiemy siłą życiową. Prana przenika wszędzie. Znajduje się we wszystkim co żyje. Prana jest to siła, czynna w leczeniu magnetycznym, psychicznym, w nieobecności (tj. na odległość). To co powszechnie zowie się magnetyzmem ludzkim — w istocie jest to Prana".**

Wychowany w kulturze europejskiej, z pewnym zażenowaniem powołuję się na te oba wyjaśnienia, zdając sobie sprawę, że nawet ci, których udało mi się przekonać zaczną powątpiewać w to co napisałem.

Niech w takim razie przemówi raz jeszcze przykład z życia codziennego. Organizm zaatakowany przez wirusy czy bakterie, nie mogąc poradzić sobie z przeciwnikiem, sam włącza dodatkowe urządzenia regulacyjne. Podnosi temperaturę. O ile? — o dwa, trzy stopnie. Temperatura — jak nas uczy fizyka, jest niczym innym, jak tylko miarą ruchu cząsteczek. Przypomnę, że w ciele stałym cząsteczki te mogą wykonywać jedynie ruch drgający.

Nie mając dostępu do warsztatu doświadczalnego w tej dziedzinie, siłą rzeczy muszę się opierać wyłącznie na literaturze. Być może zasugerowany tematem, nie potrafiłem uchwycić sprzeczności, czy pewnego rodzaju infantylizmu w swoim rozumowaniu. Czytając jednak niektóre publikacje odnosiłem wrażenie, że już w następnych zdaniach autorzy powiedzą to wszystko, co ja przedstawiłem powyżej. Być może zabrakło im odwagi — bo to byli fachowcy. Trudno się pozbyć ciśnienia wiedzy nabytej.

ANDRZEJ WILCZKOWSKI — alpinista, inżynier, starszy wykładowca w Instytucie Politechniki Łódzkiej, autor trzech książek o tematyce alpinistycznej, od 1977 roku członek Związku Literatów Polskich.

Z PRASY

W Grecji rozpoczął się proces sądowy przeciwko prawicowym ekstremistom, którzy planowali obalenie rządu. Jeden z nich, młody kapitan artylerii K. Cavellas, z przyjemnością fotografował się w uniformie ss-owca, a w jego sypialni wisiała flaga ze swastyką. Obecnie, 30-letni wielbiciel Hitlera, w towarzystwie mu podobnych, siedzi w więzieniu Coridallos, gdzie od lata 1975 roku odbywają kary dożywotniego więzienia byli wodzireje junty wojskowej — G. Papadopulos i D. Joannidis.

Prawicowo-ekstremistyczna organizacja, do której należało wielu oficerów pokroju kpt. Cavellasa, nosiła patriotyczną nazwę: „Organizacja odrodzenia narodowego". W ciągu 2 lat spiskowcy opracowywali tajne plany zagarnięcia władzy, a 17 grudnia ub. roku rozpoczęli aktywną działalność: tego dnia w przeciągu 2 godzin nastąpiło w Atenach 50 eksplozji, które zaalarmowały rząd. Premier Karamanlis, zebrawszy w trybie nagłym swoich ministrów i szefów tajnych służb oraz policji, powiedział wzburzony: „Teraz potoczą się głowy!"

W konsekwencji decyzji rządowych postawiono przed sądem 17 członków tej podziemnej organizacji. Dziesięciu spośród nich — w tej liczbie czterech oficerów, handlarz bronią, prywatny detektyw i Amerykanin greckiego pochodzenia, zatrudniony w jednej z amerykańskich baz — znajduje się w areszcie tymczasowym. „Nasza organizacja — zeznał podczas śledztwa Cavellas — miała swoich ludzi i bezpośrednie kontakty nie tylko w wojsku i policji..."

Młodych oficerów, którzy pokończyli uczelnie wojskowe w okresie dyktatury czarnych pułkowników, obecne dowództwo sił zbrojnych, ze względów bezpieczeństwa, kierowało zazwyczaj do garnizonów rozlokowanych na północnych granicach kraju. Jednakże, nie wyrzekli się oni planów zagarnięcia władzy i nadal utrzymywali kontakty ze spiskowcami w stolicy. Jeden z takich spiskowców, który zerwał ze swoją grupą i uciekł za granicę powiedział korespondentowi „Spiegla", że już w styczniu 1975 roku, w Atenach powstała podziemna organizacja pn. „Ruch chrześcijański na rzecz wyzwolenia Grecji". Do połowy 1977 roku „chrześcijańscy wyzwoliciele" osobiście, przy pomocy z zewnątrz, w tym podobno także przy poparciu z Niemiec Zachodnich, utworzyli liczne ugrupowania wywrotowe, gromadzili w tajemnicy broń, opracowywali plany puczu.

Obalenie rządu miało nastąpić w czerwcu 1977 roku, jednakże operację trzeba było odłożyć, ponieważ odkryto jedną z grup terrorystycznych, na której czele stał niejaki Kalencis, blisko powiązany z włoskim ruchem neofaszystowskim. Kalencis otrzymał długoterminowy wyrok i w więzieniu Coridallos nawiązał kontakt z Joannidisem, który w czasie dyktatury kierował policją wojskową. Matka Kalencisa po kryjomu wynosiła z więzienia listy i wskazówki Joannidisa i przekazywała je ekstremistycznym organizacjom prawicowym. W odróżnieniu od Papadopulosa, który ma nadzieję na amnestię, Joannidis wierzy widocznie że przedzej wyjdzie na wolność licząc na pomoc swoich sojuszników. I rzeczywiście oficerowie wierni byłemu reżimowi junty znajdują w barach ateńskich i spelunkach młodych neofaszystów i prawicowych ekstremistów, powierzając im zadanie dokonywania aktów terroru.

(„SPIEGEL" — HAMBURG)

Wielka Brytania

PRZED WYBORAMI

Bezpośrednią przyczyną upadku rządu premiera Jima Callaghana było fiasko planów rządu laburzystowskiego udzielenia ograniczonej autonomii Szkocji i Walii. Jednakże w szerszym planie, przyczyną, która spowodowała upadek rządu jest, przede wszystkim niewypełnienie przedwyborczych obietnic Partii Pracy.

Wkrótce po powrocie do władzy w 1974 roku rząd laburzystowski ogłosił za podstawę swego wewnątrzpolitycznego programu politykę tzw. kontraktu społecznego. Nakłoniwszy związki zawodowe do wyrażenia zgody na hamowanie podwyżki płac, rząd obiecał okiełznać wzrost cen, działać na rzecz zatrudnienia, stymulować ożywienie ekonomiki. Obietnice te pozostały jednak na papierze, co wzbudziło niezadowolenie w kraju. Rząd laburzystowski upadł wprawdzie, ale wypadł całkiem nieźle w porównaniu z poprzednimi gabinetami brytyjskimi, kierowanymi np. przez Churchilla, Lloyda George'a czy Mac Millana. Lata rządów Partii Pracy: 1974—1979 były trudne z racji bardzo zmiennej koniunktury ekonomicznej i socjalnej. Na przykład w ubiegłym roku deficyt bilansu handlowego wynosił ponad 1,1 miliarda funtów szterlingów. W Wielkiej Brytanii jest obecnie około półtora miliona bezrobotnych, a to, jak podają specjaliści, kosztuje Anglię mniej więcej 14 miliardów funtów szterlingów rocznie, na co składają się: wartość nie wykonanej produkcji plus zapomogi dla bezrobotnych. Stałe zmniejszanie wydatków państwowych na potrzeby socjalne negatywnie odbiło się na poziomie życia ludzi pracy, przede wszystkim na najgorzej sytuowanych warstwach społeczeństwa. Na przykład wskutek ograniczeń w budownictwie mieszkaniowym 700 tysięcy rodzin mieszka w domach pozbawionych elementarnych urządzeń sanitarnych, a ponad 200 tys. osób w ogóle nie ma dachu nad głową. Mimo narzuconego związkom zawodowym, w ramach tzw. umowy społecznej, 5-procentowego „dobrowolnego" ograniczenia podwyżki płac, inflacja rosła nieustannie i sięga dziś poziomu 9,6 proc.

Jesienią ub. roku ekonomiczną politykę rządu zdecydowanie odrzucił Zjazd Brytyjskiego Kongresu Związków Zawodowych, a następnie uczynili to sami delegaci konferencji Partii Pracy. Niemniej przywódcy laburzystowscy obstawali z uporem przy polityce zaciskania pasa. Związki zawodowe podczas rozmów z przedsiębiorcami i rządem nie przeforsowały swoich żądań i uciekły się do wypróbowanego środka — strajków. W ciągu ostatnich trzech miesięcy strajki wstrząsały całym krajem. Strajkowali kolejarze, kierowcy autobusów cystern z benzyną i samochodów ciężarowych, pracownicy gospodarki komunalnej, dziennikarze, techniczny personel szpitali i szkół. Praktycznie został całkowicie sparaliżowany system wymiaru sprawiedliwości w Szkocji. Fala strajkowa dotarła nawet do Ministerstwa Obrony i tajnych służb, gdzie odmówili przystąpienia do pracy operatorzy ośrodków komputerowych i szyfranci. O niezwykłym rozmachu tego ruchu strajkowego świadczy fakt, który przytacza W. Pawłow, korespondent radzieckiego tygodnika „Temps Nouveaux": „Tylko w styczniu tego roku Wielka Brytania straciła z tego tytułu ponad 2 i pół miliona dni roboczych.

Napiętą sytuację w kraju wykorzystywali dla swoich celów konserwatyści. Starając się pogłębić rozdźwięki między rządem laburzystowskim a związkami zawodowymi torysi zażądali wprowadzenia w kraju stanu wyjątkowego, użycia wojska w charakterze łamistrajków. Kiedy nie udał się ten manewr, konserwatyści oskarżyli rząd o słabość i nieuczciwość, kompromitując go w oczach społeczeństwa na wszelkie możliwe sposoby. Istotnie krótkowzroczna polityka laburzystowskiego kierownictwa mocno poderwała pozycję partii. Przeprowadzane, podczas najgorętszego okresu strajków, badania opinii publicznej wykazały rekordowy spadek popularności rządu. Ta tendencja ujawniła się w pełni 1 marca, podczas uzupełniających wyborów do parlamentu.

Stało się jasne, że jeśli laburzyści nie podejmą zdecydowanych kroków, mogą się sami pozbawić szans na zwycięstwo w kolejnych powszechnych wyborach, które odbędą się nie później niż w październiku br. Biorąc to pod uwagę, rząd Callaghana poszedł na ustępstwa wobec strajkujących, rezygnując z wymuszonej 5-procentowej podwyżki płac oraz szybko zawarł z przywództwem brytyjskich związków zawodowych nowe porozumienie: „konkordat". Krótko rzecz ujmując, ów dokument zawiera mgliste obietnice zwiększenia tempa wzrostu ekonomicznego, obniżenia poziomu inflacji. Natomiast o wiele bardziej wyraźnie mówi się w nim, że przy rozstrzyganiu konfliktów w sferze pracy związki zawodowe powinny dobrowolnie ograniczać stosowanie strajków i piketowanie oraz uciekać się do nich tylko w bardzo wyjątkowych wypadkach. „Konkordat" umocnił nieco pozycję rządu, co znów pozwoliło mu zapewniać wyborców, że „laburzyści są tą jedyną partią w kraju, która może wywalczyć klasowy pokój".

Callaghan przedstawił już przedwyborczy program Partii Pracy. Ów obszerny, 37-stronicowy dokument, nasycony, jak wyraził się premier, „idealizmem i entuzjazmem partii" jest także — podkreśla korespondent „Le Monde" — wypełniony „dążeniem do umiaru pod wpływem 5 lat doświadczeń parlamentarnych". Wynika z tego, iż przy precyzowaniu programu, Callaghanowi i jego umiarkowanym kolegom udało się uzyskać przewagę nad lewicową mniejszością w kierownictwie partii. Należy podkreślić, iż przedłożony przez przedstawicieli lewego skrzydła Partii Pracy projekt programu wyborczego szedł znacznie dalej w kwestiach rozwiązania szeregu ważnych problemów. W zamian Callaghan poszedł na ustępstwa wobec lewicy w partii w sferze polityki europejskiej w programie mówi się bowiem, że jeśli laburzyści pozostaną u władzy, ich rząd postara się zredukować budżet wojskowy. W dziedzinie ekonomicznej i socjalnej program obiecuje, iż przyszły rząd laburzystowski postawi sobie za cel zredukowanie wzrostu inflacji do poziomu 5 procent (do 1982 roku) i zapewni wzrost produkcji o 3 procent rocznie.

Komentator londyńskiego „Observera" podkreśla, iż Callaghan i minister skarbu, Healey, „nie próbują nawet wywrzeć wrażenia, że mogą zaproponować jakieś szybkie decyzje w sprawie wyleczenia schorzeń brytyjskiej ekonomiki". Obaj jednak motywują realność swoich szans na powtórny wybór doświadczeniem rządu laburzystowskiego i jego pozycją społeczną, które predestynują go do kontynuowania działalności państwowej.

J. Callaghan rozpoczął kampanię przedwyborczą od drastycznej przestrogi, iż dojście do władzy konserwatystów zagrozi milionowi stanowisk pracy. „Nie ma takiego rejonu w kraju, który by w przyszłości nie ucierpiał wskutek proponowanej przez konserwatystów polityki odrzucania programów tworzenia nowych stanowisk pracy — powiedział premier. — Konserwatyści przekształcą Szkocję, Walię, Północną Irlandię i wiele innych rejonów Anglii w pustynię bezrobocia". Odrzucając laburzystowski program tworzenia nowych stanowisk pracy — powiedział premier — konserwatyści szykują krajowi ogólnonarodowe samobójstwo. Callaghan podkreślił także, że jeśli do władzy doszliby konserwatyści, to ich rząd podejmie grożące ogólnym niezadowoleniem decyzje, takie np. jak zniesienie kontroli nad cenami i polityką w dziedzinie płac, zwiększenie opłat za usługi medyczne oraz podporządkowanie kraju Wspólnemu Rynkowi. Omawiając szerzej problem Wspólnego Rynku, Callaghan powiedział m.in., iż „konserwatyści pozwolą Europejczykom podeptać nas nogami". W rzeczywistości prawicowo-laburzystowskie kierownictwo zbyt długo lekceważyło interesy szerokich mas, zrzucając na barki ludzi pracy cały ciężar kryzysu ekonomicznego. Odsunęło to od laburzystów znaczną część ich zwolenników.

A co proponują konserwatyści? Powrót do rąk prywatnych szeregu znacjonalizowanych gałęzi przemysłu, zwiększenie wydatków wojskowych, ograniczenie roli i wpływów związków zawodowych. Nawet organ brytyjskich kół handlowych „Financial Times" zauważa, iż ekonomiczna strategia konserwatystów grozi obniżeniem poziomu życia i sprzyja dalszemu wzrostowi bezrobocia.

Duży odłam społeczeństwa brytyjskiego wyraża pogląd, że laburzyści mogą mieć nadzieję na poparcie wyborców, ale tylko w wypadku, jeśli wezmą na siebie twarde obowiązki walki z bezrobociem redukcji wydatków na zbrojenia, przeprowadzenia radykalnych reform socjalnych w interesie szerokich warstw społecznych. Z programem wyborczym występuje Komunistyczna Partia Wielkiej Brytanii, żądając przede wszystkim podwyższenia płac, rozszerzenia budownictwa mieszkaniowego, wprowadzenia kontroli nad importem i eksportem kapitału, nacjonalizacji przemysłu naftowego, wielkich banków i kompanii ubezpieczeniowych oraz dużych firm przemysłowych.

JERZY CZECH

KRONIKA TYGODNIA

Przywykliśmy już do wizyt na najwyższym szczeblu nie tylko jako formy bezpośredniej dyplomacji, ale też formy wiążących ustaleń na temat współdziałania państw.

Ostatnio **z trzydniową wizytą przebywał w Związku Radzieckim prezydent Francji Valery Giscard d'Estaing.** Kroniki podają, że było to trzynaste spotkanie francusko-radzieckie na szczycie od zakończenia II wojny światowej i czwarte spotkanie obecnego szefa państwa francuskiego z Leonidem Breżniewem.

Przed niespełna dwoma laty — w czerwcu 1977 roku — gościł we Francji radziecki przywódca. Było to duże wydarzenie w historii wzajemnych stosunków. Podpisano wówczas wiele ważnych dokumentów, w tym wspólne oświadczenie o odprężeniu w stosunkach międzynarodowych, deklarację o nierozpowszechnianiu broni jądrowej oraz porozumienia o współpracy gospodarczej i przemysłowej. Teraz dyskutowano na płaszczyźnie bilateralnej długofalowy i na najbliższe lata program współpracy gospodarczej oraz wspólny lot kosmonauty francuskiego z załogą radziecką. (Komentarz ślemy do druku przed opublikowaniem wyników rozmów w Moskwie).

Stosunki radziecko-francuskie uznawane są za przykładowe, jak powinna rozwijać się współpraca między państwami socjalistycznymi i kapitalistycznymi. Co więcej — współpraca ta zawsze była nacelowana na najważniejsze kwestie polityki światowej. Nie inaczej było i tym razem, w trakcie moskiewskiego spotkania przywódców obu krajów. Oczywiście — omawiano także aktualną sytuację międzynarodową z wszystkimi jej obecnymi złożonościami. Na pewno można stwierdzić, że **moskiewskie rozmowy przyczynią się do pogłębienia wzajemnych stosunków i służyć będą dobrze procesowi odprężenia.**

* * *

Wciąż pozostaje w polu wysokiego zainteresowania sytuacja bliskowschodnia. Jej nowym elementem jest **wejście w życie układu egipsko-izraelskiego** — po wymianie dokumentów ratyfikacyjnych na Synaju, co miało miejsce w ub. tygodniu.

Od daty 25 kwietnia 1979 roku liczyć się będzie kalendarz postanowień układu: za siedem miesięcy Izraelczycy mają przekazać Egiptowi pola naftowe na Synaju, za dziewięć miesięcy częściowo wycofają się stamtąd, za dziesięć miesięcy nastąpi wymiana ambasadorów i ustanowienie stosunków dyplomatycznych między obu rządami, za trzy lata Egipt uzyska kontrolę nad Synajem...

Czy jednak — jak stwierdzono to w czasie uroczystości wymiany dokumentów — rzeczywiście wydarzenie owe można uznać za „pierwszy krok na drodze do zawarcia globalnego pokoju w rejonie bliskowschodnim"?

Wyjaśnialiśmy to już kilkakrotnie: **zdecydowanie nie.** Jest ono wyłomem, którego dopuścił się Egipt wbrew stanowisku większości państw arabskich i dlatego zerwały z nim stosunki dyplomatyczne. Układ nie załatwia przecież najistotniejszej kwestii — nie rozwiązuje problemu palestyńskiego. Powstała więc na Bliskim Wschodzie nowa sytuacja, ale wcale nie łatwiejsza niż poprzednio. Co gorsze — rozbity został front krajów arabskich.

* * *

Prezydent Sadat i premier Begin uściskiem ręki przypieczętowują podpisanie separatystycznego układu pokojowego.

Obserwatorzy polityczni z dużym zainteresowaniem śledzą **rokowania wietnamsko-chińskie.** Socjalistyczny Wietnam, ofiara napaści ze strony maoistycznych Chin — mimo iż dzielnie bronił się — od początku konfliktu stawiał na rokowania i na tej drodze rozwiązanie spornych problemów. SRW wysuwała jednak warunek: całkowite wycofanie wojsk chińskich. Tak się do końca nie stało, ale Wietnam raz jeszcze okazał dobrą wolę i podtrzymał swą propozycję rozmów.

Zaczęły się 18 kwietnia. Strona wietnamska wyszła z pokojową inicjatywą: zaprzestania wszelkiej wrogiej działalności, wycofania wojsk na odległość 3—5 km w głąb własnych terytoriów i stworzenia w ten sposób strefy zdemilitaryzowanej, ustanowienia normalnych stosunków oraz rozwiązania sporów granicznych w myśl zasady historycznie ukształtowanego status quo. Kontrpropozycja Pekinu była zaskakująca: uznania przez Hanoi... wszelkich jego roszczeń terytorialnych. 26 kwietnia odbyła się druga runda rokowań, ale z wyszczególnionych już względów znów utknęły one na martwym punkcie. Równolegle, o czym pisaliśmy przed tygodniem, maoiści nadal prowokują incydenty graniczne i okupują kilkanaście punktów na terenie wietnamskim, chcąc wymusić korzystne dla nich rozwiązanie.

Wszystko to razem świadczy **o złej woli kierownictwa ChRL** i budzi obawy, jak zakończy się konflikt, spowodowany przecież otwartą napaścią na SRW.

A jak wiadomo sprawa ma szerszy aspekt i nie ogranicza się wcale tylko do linii Hanoi — Pekin.

W. SŁAWSKI

Grzegorz Bazylak

LAUTREAMONT

Nigdy nie wyschnie moje straszliwe natchnienie!
Ono się syci bez przerwy niedorzecznymi
Zmorami które nekają moją bezsenność.
„Pieśni Maldorora", II
Przynaglany
otulając się topielą
dygocący ostatnim
węzłem myśli zachłannych
pętał stopy wspomnień
by razem z nimi
zginąć w ruinach cieni
na tej równinie
bezskutecznie
obejmując się wpół

Michał Boroński

* * *

jasność wzeszła
w ciepło spowiła
stygnące
w przychylności jej wystaję
na klęczkach się uwijam
biję czołem
sile wielkiej
ja spóźniony Aztek
żyję w ponurej obawie
końca

Wojciech Wiśniewski

RYSUNEK KREDKAMI

pamięci Dzieci z obozu
Polen Jugendverwahrlager w Łodzi

na jasnym ogrodzie
w weroneskiej zieleni
mali chłopcy z sąsiedztwa
na pszczołach lecieli

jechali tak długo
a matki za nimi
na błękitnych zapaskach
oczy przewoziły

i stały tak matki
o powrotnych śpiewach
na jasnym ogrodzie,

na jasnym ogrodzie
krzyżem leżały
zagryzione drzewa

Jacek Matysiak

RĘKAWICA SCHOPENHAUERA

W wolnej chwili
otwieram wystawę
naszych krajobrazów
i witam zgromadzonych
zanurzone w nutach galazek
włosy już nie twoje
blask cię opuszcza jak diabeł
martwego anioła w uścisku
odchodzę sam
wypełniam niespodzianki
odkurzoną wyobraźnią
ciężkie są buty Schopenhauera
tyle nóg drżąco stąpa
im więcej czuję obecności
tym mniej jestem obecny

Henryk Zasławski

* * *

niedostępna czomolungma
źródło na pustyni
światło w oceanie
szaleństwo —
tak być może myślał Piotr
pisząc allegro non tropo
e molto maestoso
czeka na Ciebie
jest wnętrzem
i misterium

Piotr Bohdziewicz

ANIOŁY W PRZESTRZENI TRÓJWYMIAROWEJ

anioły anioły to się tylko tak łatwo mówi anioły
anioły są o wiele bardziej skomplikowane
od perpetuum mobile
anioły są prawie jak system geocentryczny
z jego kółkami i kółeczkami
anioły są idealnie nieistniejące
więc mrugamy do siebie porozumiewawczo oczyma
gdy o nich mowa
anioły istnieją o tyle o ile
istnieje prosta doskonale bezkresna szpagat euklidesa
ale linia wyrysowana kredą na tablicy
ale kawałek sznurka od palca do palca
anioły wtedy przestają istnieć
anioły istnieją o tyle o ile
istnieje nieskończenie cienka płaszczyzna brzytwa euklidesa
ale płaszczyzna zrobiona z tektury
ale kartka wyrwana z zeszytu
anioły wtedy przestają istnieć
anioły istnieją o tyle o ile
istnieje abstrakcyjnie ruch jako taki kolor jako tatki
ale toczenie się bilardowej kuli
ale trawa jest zielona
anioły wtedy przestają istnieć
więc mrugamy do siebie porozumiewawczo oczymą
gdy o nich mowa

Rys. Krzysztof Wieczorek „X — 8".

Zbigniew Żołnierczyk

* * *

w poprzek rzeki twego ciała płynę
tylko głowę unosząc nad powierzchnią
cały zanurzony w tobie
mokry twoim ciałem
gangreną ogólną
tylko patrzeć
jak zaczną nade mną krążyć sępy
i zjadać moją wątrobę
odrastającą do chwili
kiedy koryto twej rzeki
będę mógł przejść
suchą nogą

Stefan Rusin

* * *

na zaludnionej ulicy
publiczny rytuał samochodów
spowiali mężczyźni jak najdalej
od zapomnianych żon
siebie coraz mniej
w świątecznych ubraniach
za pętlą tramwajową pełen świtu dom
jakże łatwo wsłuchać się w innych
choć słowa przeczą otwartemu sercu
drwi z nas ostatnia pusta ławka
coraz mniej tlenu
w ciasnym przejściu dnia

Marek Madej

* * *

Kto nocą do drzwi
Puka Komu nie wolno otworzyć
Kto zęby wyważa
Jezyka twardym ostrzem
Usta kalecząc kto wargi rozcina
Słowem zuchwałym Kto myśli
Że nas przetrzyma
Czy mi przynosi obiecane góry
Czy złotą ziemię Kto
I czy w worach pełnych
Snu pod oczyma

Jacek Krakowski

KARMICIELE

— zatem wiedliśmy spory o sentencje szczęścia?
Nie pamiętam Zdaje się — dziesiąta....
Tutaj sól, tutaj chleb. Można dalej
drugim śniadaniem witać wszystkie przedpołudnia,
które się przydarzają nam bez większych zmian.
— lecz wiedzieliśmy coś.... I zgubić przyszło,
jak utracone skrzydło albo ramię
białych bogów w arkadiach cicho zakopanych.
— Być może. Lecz minęło. Jedzmy swoje.

Tadeusz Wierzbicki

* * *

Rozebrano strzechę
szyja bez głowy
komin dymił jeszcze
przez zarwaną powałę
przeciekał strach
przysiadły ściany
bale sypią się próchnem
obok dziecko
z dłoni w dłoń przesypuje piasek

Wymiar sprawiedliwości - materia delikatna

Nim Wiesław Myśliwski debiutował sztuką teatralną, miał już ugruntowaną pozycję wśród pisarzy współczesnych. Za wydaną w 1967 roku powieść „Nagi sad" otrzymał w roku następnym nagrodę im. Stanisława Piętaka. To piękne wyróżnienie było tym cenniejsze, że z patronem nagrody, zmarłym w 1964 roku, łączyły go różnorodne, choć nie bezpośrednie więzy. Przede wszystkim gruntowna znajomość realiów życia wiejskiego i umiejętność ich artystycznego przetworzenia w utworze literackim. Ponadto Piętak i Myśliwski, choć przynależni do innych generacji, wywodzili się z tej samej ziemi sandomierskiej, pierwszy — z Wielowsi, a drugi : Dwikóz.

Kolejna powieść Myśliwskiego, „Pałac", związana jak i pierwsza z tematyką wiejską, przyniosła autorowi w 1971 roku nagrodę III stopnia Ministra Kultury i Sztuki. A więc w stosunkowo krótkim czasie Myśliwski odniósł znaczne sukcesy literackie, a jego książki są wysoko cenione przez bardziej wyrobionego czytelnika.

I wreszcie pierwsza sztuka teatralna, „Złodziej", znów wyróżniona została nagrodą im. Piętaka. Cień świetnego sąsiada z Wielowsi towarzyszy, jak widać, drodze twórczej Myśliwskiego.

„Złodzieja" wystawiał przed kilku laty Teatr Powszechny w Łodzi. Nie na scenie, lecz w foyer, przy czym krzesła dla widzów otaczały z trzech stron przestrzeń, na której odgrywany był spektakl. Obecnie mieliśmy okazję oglądać tę sztukę w teatrze telewizji.

Tak, z pewnością nie jest to widowisko do grania w tradycyjnej konwencji scena — widownia. Ta jednoaktówka, w której w sensie fabularnym niewiele się dzieje, ma w sobie intymność, przytłumienie, które nie zniosłoby dalekiego dystansu między widzem i aktorem. Tekst, wyrażający uczucia i myśli ludzkie — te najbardziej ukryte — nie powinien mieć długiej drogi od ust aktora do ludzkiego ucha.

A teatr telewizji, choć przekazywany dzięki aparaturze na wielkie przestrzenie, jest teatrem redukującym odległość między aktorem i widzem do minimum. Nie ma sprzeczności w tym stwierdzeniu. Gdy oglądamy zbliżenie twarzy wykonawcy na ekranie naszego telewizora, nie pamiętamy o tym, że obraz przesłano nam z daleka. Aktor jest tuż obok nas, przemawia do nas wprost, patrzy nam w oczy i my mu w oczy patrzymy.

O czym jest ta sztuka Myśliwskiego, która w telewizji moim zdaniem sprawdza się znakomicie? W płaszczyźnie realistycznej sytuacja jest następująca: rodzina chłopska — ojciec i trzech synów — schwytała na swoim polu złodzieja, który nocą podkopywał kartofle. Zapolowali na złoczyńcę jak na zwierzę, schwytali i poszturchując przywlekli do chałupy. Tutaj odbyć ma się rodzaj sądu nad sprawcą przestępstwa. Jest okupacja hitlerowska, nie można szukać sprawiedliwości u władz, gdyż te są rzecznikami wszelkiego bezprawia, w skali kraju dokonują zbrodni i wielkiego rabunku, jakże by mogły rozstrzygać sprawę małej kradzieży! Ojciec i synowie chcą więc sami wymierzyć sprawiedliwość.

A zatem nie chodzi o zwykły odwet, o odegranie się na złodzieju. Bohaterowie Myśliwskiego chcą udowodnić (komu? Bogu? Innym ludziom? Sobie?), że nie wygasło w nich poczucie sprawiedliwości. Skoro nie ma sądu legalnego, ciężar wymiaru tej sprawiedliwości chcą wziąć na siebie. Myśliwski nie rozgrywa tego wydarzenia w wymiarze małego realizmu, choć realistyczna jest i wiejska chałupa, i kosz jabłek zebranych w sadzie i butelka bimbru przyniesiona od sąsiada. Sztuka ma charakter metaforyczny, jest moralitetem, a nie prostą historią o rodzinie chłopskiej i złodzieju.

To w duszy ludzkiej rozgrywa się dramat, a materia, z której jest skonstruowany, to przedziwo delikatne, kryjące w sobie niespodzianki i zasadzki. Jak trudno jest wydać wyrok na drugiego człowieka nawet w przypadku, gdy okoliczności wydają się go kompromitować jednoznacznie! Złodziej jest jedyną postacią w sztuce Myśliwskiego, która przez cały czas milczy. Nie protestuje przeciw gwałtowi, jaki mu się zadaje, nie tłumaczy się, nie prosi o łagodne traktowanie.

Ten milczący człowiek wydaje się najbardziej niepokojący w widowisku. Przecież niewątpliwie kryje jakieś swoje motywy i racje. Dlaczego więc nie broni się, dlaczego uparcie milczy i posłusznie wykonuje wszystkie polecenia? Na te pytania autor nie daje nam odpowiedzi. Złodziej zachowa do końca swoją tajemnicę, nawet w momencie gdy najmłodszy z jego prześladowców poniesie śmierć, by ratować jego życie. W tym nieujawnieniu myśli i uczuć tego człowieka zawiera się posłanie sztuki Myśliwskiego.

Jak trudno jest zgłębić drugiego człowieka! Jednoznaczna, zdawałoby się, sytuacja wyjściowa służy autorowi do odsłonięcia nam nieoczekiwanie szerokich perspektyw filozoficznych i moralnych.

WŁADYSŁAW ORŁOWSKI

JERZY RZYMOWSKI

NARÓD, NEUROZA I PŁEĆ

Powieść „Na widoku" potwierdza dobrą markę prozy Bolesława Faca, wyrobioną już sporym szeregiem prac literackich tego autora — także poety, tłumacza i krytyka — przede wszystkim zaś poprzednią książką „Na pamięć" (1976), wydaną również przez łódzką firmę. Tematycznie i warsztatowo obie te powieści stykają się.

Pierwsza — napisana z niesłychanym animuszem narracyjnym, pełna inwencji w operowaniu czasem powieściowym, luźnymi skojarzeniami i refleksjami — była, zgodnie z tytułem, studium pamięci, obciążonej kompleksami psychicznymi, które współcześnie dręczą bohatera (inżyniera gdańskiej stoczni), a wywodzą się z jego nie wygaszonych do dziś i nie zbilansowanych moralnie fascynacji zmysłowych lat młodzieńczych. Owa niezapomniana namiętność młodego Polaka do niemieckiej dziewczyny skażona została przez historię, rozkwitła bowiem na pogorzelisku wojny, w wyzwolonym Gdańsku 1945 roku, wśród powszechnego bólu, niejako ponad przepaścią wojennych krzywd i zbrodni. Śmiała ekspozycja doznań intymnych, wywołujących jeszcze po latach dreszcze erotycznej gorączki (tak to trzeba nazwać!), nastąpiła na rozległym, malowniczym i uczuciowo przejmującym tle waśni narodowych, polsko-niemieckich urazów i rozrachunków, specyficznie powikłanych na Pomorzu, co skądinąd znamy także z, tłumaczonej u nas, ambitnej literatury niemieckiej. Nie dający się w tego rodzaju wspominkach wytłumić głos sumienia sprawił, że osobiste wyznania obnażyły pamięć o miłości grzesznej, jakby narodowo bluźnierczej. Znany to w powojennej prozie polskiej styl borykania się z dwuznacznymi, choć przecie głęboko i zwyczajnie ludzkimi, urokami przeszłości, by wskazać tu na przykład głośną niedawno „Appassionatę" Józefa Mortona, też z 1976 roku.

Druga rzecz Faca, powstała na tej samej fali twórczej, dotyczy znowu spraw niemieckich, ich obecności w teraźniejszej świadomości polskiej i odbicia spraw polskich w mentalności społeczeństwa RFN. Rzecz prosta, liczy się tu również pewien balast doświadczeń z okresu najazdu hitlerowskiego, lecz jest on już mniej wyczuwalny, gdyż nie tak drastycznie unaoczniony, jak w powieści poprzedniej. W „Na widoku" nie ma bowiem żadnego wątku fabularnego przebiegającego w tamtym czasie. Nieporównanie większe znaczenie uzyskały natomiast nowe impulsy, jakich dostarczają frapujące zjawiska z pogranicza obyczajowości i życia ideowego w Republice Federalnej. Przesunięcie akcentów z historii na rzeczywistość bieżącą nie naruszyło jednak, charakterystycznego dla metody poznawczej Faca, splotu seksu i polityki, niewątpliwie atrakcyjnego dla czytelnika. Na drodze do klarowniejszego, aniżeli w eksperymentalnej prozie „Na pamięć", porozumienia z czytelnikiem wyrugowane zostały skrajne komplikacje czasu powieściowego. Obserwacje reportażowe, retrospekcje, partie psychologiczne i dokumentarne połączono w „Na widoku" stosunkowo przejrzyście.

Są to właśnie pierwszorzędne walory pisarstwa Faca. Jego fabuły, pomysłowe, treściwe, rzeczowe, emocjonalnie intrygujące, czyta się dobrze, z poczuciem nowoczesności kompozycji. Czujność na zmysłową urodę świata, nasycenie erotyką, wartkie dialogi, wyraziste epizody i postacie drugoplanowe, celne aluzje polityczne, pierwiastki humoru przykuwają uwagę odbiorcy i zespalają się w, zjednujący jego zaufanie, efekt autentyczności. Wrażenie to podtrzymują dodatkowo nuty autobiograficzne, różne fakty z życiorysu Faca przypisane bohaterowi powieści i jego ojcu. Bohater nazywa się Mestwin (Mściwój) Duszyński, jego ojciec — poeta i prozaik — urodził się w Miedzychodzie, przez szereg lat prowadził dział poezji w miesięczniku wydawanym na Wybrzeżu. Otóż Bolesław Fac urodził się w Międzychodzie, w publikacjach prasowych używa pseudonimu „Mikołaj Duszyński" (matka była z domu Duszyńska), redagował dział poetycki w miesięczniku „Litery". Czytając dalej pod tym kątem, natrafiamy na jeszcze inne sprawdziany pozaliterackiej prawdziwości realiów powieści, np. w postaci Mądrej Sowy rozpoznajemy portret prof. Marii Janion, prowadzącej w Gdańsku wykłady o literaturze romantycznej, zebrane w tomie „Romantyzm, rewolucja, marksizm. Colloquia gdańskie" (Gdańsk 1972).

Fikcja literacka podżyrowana jest więc różnymi „warancjami": w głównych motywach i sytuacjach — prawdopodobieństwem psychologicznym, typowością losów historycznych i obyczajów środowiskowych, fragmentami publikacji źródłowych, wycinkami z prasy zagranicznej, w niektórych zaś drobiazgach — aluzją, czytelną dla wtajemniczonych. Wydaje się jednak, że w sumie wyraża ona prawdy o wymiarze węższym, niż można było oczekiwać. Przy wszystkich wartościach poznawczych i artystycznych powieści Faca, sens całości jest trochę zamazany. „Na widoku" wyczerpuje się w prezentacji ciekawego i barwnego materiału, z którego trudno wypreparować myśl przewodnią. I tu dochodzimy do niedoskonałości tej — podkreślmy! — wybitnej fazy pisarstwa Faca, niedoskonałości dostrzegalnej dopiero przy zastosowaniu najwyższej skali wymagań. Nonsensem bowiem byłoby zgłaszanie jakichkolwiek pretensji pod adresem autora, jeśli w ocenie jego dzieła uwzględnilibyśmy taryfę ulgową (czyli normalną), jak to w praktyce recenzenckiej od lat się czyni, mając na uwadze rangę danego problemu lub przeszkody towarzyszące jego podjęciu, bądź też społeczne zapotrzebowanie, sprawność pióra, piękną polszczyznę i tym podobne fory, czy raczej okoliczności łagodzące.

Mimo intelektualnej aktywności bohatera pojemność problemową powieści Faca limituje w gruncie rzeczy wycinek ukazanej w niej rzeczywistości, ograniczony do peryferii życia narodowego. W Polsce są nimi regionalne osobliwości i komplikacje rodzinne na tle dawnych stosunków narodowościowych, w Republice Federalnej — kontestatorzy i emigranci. Choć sprawy autochtonów, przesiedleńców, rodzin rozdzielonych i mieszanych rozmaite nie uregulowane rachunki dóbr, czy sumień oraz pamięć o nich, mogą nabrzmiewać w skali lokalnej oraz rzutować wciąż na politykę zagraniczną rządów, to jednak w odczuciu społeczeństwa polskiego znikają one już z pierwszego planu doświadczeń, nie budzą zbiorowych emocji, zapadają się coraz głębiej w przeszłość. Są to obecnie sprawy, że tak powiem, bez przyszłości, bez dynamiki rozwojowej, odległe od codziennego życia przeciętnego Polaka.

Obszar życia zachodnioniemieckiego, obserwowany przez przybysza z Polski, również zamyka się w skromnych ramach terytorialnych i społecznych. Mestwin Duszyński przebywa przez dwa miesiące jako stypendysta instytutu języka niemieckiego w małym bawarskim miasteczku. Wyjeżdża z niego raz do Getyngi, gdzie przypadkowo zostaje poturbowany w trakcie manifestacji lewaków, w następstwie czego ma później możność zapoznania się z kręgiem anarchistycznej młodzieży, gdyż kuruje się w domu adwokata pracującego na rzecz ruchu. Poza tym incydentem styka się jedynie z uczestnikami wakacyjnego kursu językowego, przybyłymi z różnych krajów świata i z rozmaitego autoramentu emigrantami. Dzieli czas między zajęcia w instytucie i liczne flirty, niewybredne, ani co do miejsca ich natychmiastowego spełnienia, ani co do wieku i aparycji partnerek. Żadna z nich nie jest jednak rodowitą Niemką. Notabene w tym kontekście eksponowane gorące uczucie Mestwina do pozostawionej w kraju kobiety, nie wygląda wiarygodnie.

Ponadto Mestwin poznaje tzw. życie, odwiedzając w tym celu piwiarnie, podrzędne bary, sportową strzelnicę. Nie ma możności nawiązania kontaktu ze środowiskami kulturalnymi; gdy idzie do kina, to na film pornograficzny. Można zażartować, że ów młody pisarz, który wybrał się do Niemiec z, celebrowanym przez autora, poczuciem misji poznawczej, zachowuje się na miejscu, jak przeciętny polski turysta w strefie dolarowej: z braku środków skazany jest na mizerny nocleg i wikt, funduje sobie za to od razu luksus obejrzenia „Emanueli" i „Historii O". Reprezentantami rdzennego społeczeństwa są dla Mestwina jedynie: gospodyni, w której domu wynajmuje pokoik na strychu, ewangelicki pastor i przypadkowa kompania przy kuflu. Gdy więc staramy się wykreślić perspektywę poznawczą, jaką dysponuje bohater „Na widoku", trzeba sobie uświadomić, że czy się uczy, bawi, czy kocha — przebywa on w swoistym getcie imigrantów i ludzi marginesu, odizolowanych od głównych nurtów życia społecznego. Nawet owa żona pastora — Ingrid, z którą rzecz jasna bohater ma także łóżkowy romans — rozkojarzona duchowo na tle zadawnionych kompleksów narodowych i erotycznych, należy do sfery zamożnego outsiderstwa. Peryferyjna na płaszczyźnie generalnej konfrontacji doświadczeń polsko-niemieckich — choć sama w sobie ciekawa — jest problematyka zarówno komun młodzieżowych, enklaw cudzoziemskich i przesiedleńców z byłych Prus Wschodnich, jak i programów lóż wolnomularskich zabarwionych protestantyzmem, z czym zapoznaje się Mestwin dzięki mglistym wypowiedziom holenderskiego masona, przebywającego na lingwistycznych wakacjach w Bawarii.

Pewne zdobycze myślowe tak nakreślonego obrazu warto, mimo takie czy inne zastrzeżenia, uchwycić. W tym istnym kłębowisku nacji, współżyjących ze sobą w nienormalnych warunkach lub na zasadach tymczasowości, nic się nie dzieje bez ostrej świadomości swej lub cudzej narodowości, czy to jako obsesja dokuczającej, czy to jako swoista ingrediencja zaostrzającej smak kontaktów międzyludzkich, nawiązywanych na przekór obciążeniom historycznym, moralnym i rodzinnym. Fac wyraziście pokazuje upokarzającą gorycz wychodźstwa. Polityczne, czy zarobkowe — jednako degraduje człowieka. Oderwanie od wspólnoty i od ziemi ojczystej jest złem, jest życiowym nieszczęściem. Każdy — powiada pisarz — winien żyć na ziemi rodzinnej, we własnym narodzie. W sposób literacko przetrawiony, nie publicystyczny, lecz ujęty z perspektywy indywidualnego, symbolicznego losu pokazuje, jak rozsady geopolityczne odciskają się w osobowości jednostki, przynajmniej wśród tych roczników, dla których — jak dla Ingrid — są przeżyciem pokoleniowym, skazą biograficzną. W tym punkcie Fac wydobywa niewątpliwie trudną prawdę naszych czasów, doświadczenie narodów „na kółkach", przesiedlanych, zmieniających granice swej egzystencji, prawdę o tej części Europy, w której miliony ludzi chcąc obejrzeć miejsce swego urodzenia, mogiły rodziców, dom i pejzaż dzieciństwa, podejmować muszą wyprawę do innego kraju.

Wobec upływu czasu ujęcie to czyni z powieści Faca jeszcze jedno studium coraz krótszych cieni przeszłości kładących się na współczesnym życiu narodów. Autor nie wykracza więc poza schemat redukujący całą teraźniejszość do owego zanikającego cienia. Reszta jest zbiorem pytań, na które nie usiłuje się odpowiadać. Uprzytomnienie sobie specyfiki poznawczej tej powieści nie pomniejsza wszakże wskazanych wyżej walorów książki. Z czystym sumieniem zapisać możemy edycje obydwu ostatnich powieści Bolesława Faca na dodatnie konto Wydawnictwa Łódzkiego.

Są one tak dobre, że usterki druku i skromna oprawa nie są w stanie popsuć wrażenia, jakie pozostawia ich lektura. Parę słów na ten temat powiedzieć jednak trzeba. Widzimy wszyscy, że nastał teraz czas brzydko i oszczędnie wydawanej książki. Tym bardziej zatem należałoby dbać o jakość wykonawstwa tam, gdzie nie zależy ona od papieru, kleju i lakieru. Rażą w „Na widoku" liczne błędy korektorskie (prowadzące niekiedy do jakich dziwolągów, jak „ekipa telewizyjna NRD z Hamburga" — s. 71) i nie wygładzone potknięcia stylistyczne. Np.: „zajechał opel pastora pod dom, który ich podwiózł do domu parafialnego" (71), „Sięgnął czegoś do kurtki..." (189), „póki lotnisko Aeroklubu nie przeniesiono w inne, bardziej oddalone od ich dzielnicy lotnisko" (256). Lepiej też byłoby się zdecydować, ile koron szwedzkich przemyca Mestwin przez granicę: tysiąc (s. 31), czy dwieście (s. 34), sprzeczności tej nie da się bowiem przetonić w jakiś tajemniczy, wyższy sens.

Bolesław Fac, Na widoku. Łódź 1979, Wydawnictwo Łódzkie, nakład 20 000 egz., cena 25 zł.

AZYL W KRAINIE PARADOKSU

Przed obejrzeniem „Vatzlava" Mrożka w Teatrze Nowym, warto przejrzeć wkładkę programową do przedstawienia. Jest nieduża, a „Aforyzmy" Voltaire'a i „Maksymy" La Rochefoucaulda zajmują w niej raptem 2,5 stroniczki. Te kilkadziesiąt wierszy uświadomi nam od jak dawna ludzkość nie potrafi dojść do ładu z tym co mówi i o czym mówi, a przede wszystkim — ze sobą i swoimi filozofami. Można by sięgnąć do autorów wcześniejszych, ale nie wszystko trzeba przecież zaczynać od Greków i Rzymian, Voltaire i La Rochefoucauld na nasz użytek wystarczą. Choć brakuje mi jednak w tej wkładce, bardzo dobrze w kontekście „Vatzlava" pomyślanej, jednego nazwiska. Oscara Wilde'a. To, co mówi i jak mówi Mrożek, bardziej chyba, niż z tradycji intelektualnej, jaką zostawili po sobie Voltaire i La Rochefoucauld, wynika z tradycji, postawy, jaką pozostawiło po sobie zepsute dziecię XIX wieku — Lord Paradox. Ziemia, na którą morze wypluło Vatzlava, rozbitka ze statku niewolników, wrzucona została na swą orbitę właśnie przez Wilde'a i od tej pory kręci się niemoralna, cyniczna, przyprawia o zawrót głowy twardogłowych i konie dorożkarskie. Ten Einstein moralistyki, estetyki, retoryki, aforyzmu i persyflażu, nie pozostawił po sobie niczego, co nie byłoby względne.

II

Gdyby komuś, kogo 25—30 lat temu poddano hibernacji, podetknąć dziś pierwsze strony gazet, musiałby odnieść wrażenie, że obudził się w innym świecie, na jakiejś innej Ziemi. Nie potrafiłby opisać tego świata przy użyciu pojęć, jakie stosował przed zaśnięciem, nie potrafiłby też odczytać tego świata, nie rozumiejąc pojęć, w oparciu o które dziś ten świat jest opisywany. Dla niego np. „lewica" znaczyła po prostu „lewica", a „prawica" — „prawica". Dziś zetknąłby się z „reakcyjnymi" rządami jakiej „lewicy" i względnie „postępową" „prawicą". Nie wybrnąłby z rozróżnień między „lewicowcem", a „lewakiem", zgłupiałby słysząc, że „ultralewica" jest bliska „ultraprawicy", nie doszedłby do ładu z „czerwonymi Khmerami" likwidującymi swoim współziomkom taką własność prywatną, jak buty lub głowy, ani też z Idi Aminem, który kazał się Anglikom nosić w lektyce i, co dziwniejsze, był przez nich noszony.

Doszedłby nasz „hiberman" do wniosku, że to albo świat, albo on sam stanął na głowie. Miałby rację w każdym z członów alternatywy. I jeśli ktoś dobry nie obłożyłby go znów lodem, zacząłby jak mrożkowy „Vatzlav" kręcić stryczek na własną szyję.

III

Andrzej May, który prosto z objęć „Rodziny Połanieckich", przepłynąwszy tylko mrożkowe morze, znalazł się w kraju Nietoperzy i wpadł na rolę Vatzlava, przekonuje nas, jakie to jest szczęście w nieszczęściu być aktorem. Aktorskim nieszczęściem była „Rodzina Połanieckich". Cóż można wycisnąć z tekstu gładkiego i wysuszonego, jak deska do prasowania. W „Vatzlavie" i jako Vatzlav, jest Andrzej May doskonałym przekaźnikiem myśli — doskonałym i w tym znaczeniu, że widzimy dokładnie jak one powstają, z czego wynikają, jakie opory muszą pokonać, aby dobrnąć do świadomości Vatzlava; widzimy niekiedy i to wahanie — czy bezpiecznie jest wyjawić to, co właśnie przed ułamkiem sekundy zostało zrodzone.

Na początku Vatzlav Andrzeja Maya jest rozhibernowanym chłopkiem-roztropkiem, próbującym otwierać nowy świat wytrychami sprzed katastrofy. Po sporze z Opatrznością, kiedy uspokoi już swoje sumienie i utopi w nim kolegę-rozbitka, szybko dojdzie do zgrabnego wniosku — „Na cóż mi wolność, w której jestem niedźwiedziem, a nie myślącym". Kładzie mu Mrożek w usta wszelkie figury stylistyczne i retoryczne, jakie zdołali odnotować w ciągu wieków teoretycy literatury. Posługuje się nimi May tak, jak gdyby przez całe życie nic innego nie robił, tylko na śniadanie spożywał Giorgiasza, przekąszał Lizjaszem, obiad komponował z tekstów Demostenesa, Platona, Arystotelesa, a zasypiał z „Wstępem do nauki o literaturze" (trzy tomy) prof. Skwarczyńskiej pod głową. Nie mądrzy się jednak Mrożek, nie mądrzy się May. Teksty, które jeden pisze, a drugi wygłasza, brzmią tak, jak zrodzone właśnie w tej chwili, z cicha-pęk; więcej mają w swej gęstości, jędrności i pikanterii z przyśpiewek spod Starego Sącza niż z zadumy nad światem perypatetyków spod Akropolu. Ze Starym Sączem — przesada, ale chodzi mi nie o geografię, lecz o pewnego rodzaju zdroworozsądkowość i spontaniczność.

IV

May to pars-pro-toto. Bo to samo w gruncie rzeczy można powiedzieć o wszystkich, bez żadnego wyjątku, aktorach tego przedstawienia (poza tym, że nie wszyscy czytali „Rodzinę Połanieckich). Że doskonały jest Bogdan Baer, jako Przepiórka, to oczywiste — jakiż miałby być ten aktor, w tej roli, jakby dla niego napisanej (cóż zresztą nie jest napisane dla Baera — może tylko Otello). Świetnie mu jednak partneruje Marian Stanisławski — Maciej. Odkrył się chyba i sam dla siebie. Państwo (przez duże P — bo to władcy) Nietoperzowie: Maria Białobrzeska i Sławomir Misiurewicz; czuje się w ich interpretacji jakąś przegniłość, perwersję. I tak dalej i tak dalej. Olamowaty Józio — Jan Kasprzykowski, zdrowa i głupiutka Justyna — Barbara Dziekan, godny aż do pęknięcia Geniusz — Wojciech Pilarski, kapitalny Ryszard Dembiński — Barbar. Typy, typki, postaci, charaktery, idee, co komu przypadło w udziale.

Poruszają się aktorzy w tym przedstawieniu, jak ryby w wodzie. Jak zdania w aforyzmach. Jak wyrazy w zdaniach. Są na swoim miejscu, jak litery w wyrazach.

V

Z tego, co do tej pory napisałem, niekoniecznie jeszcze musi wynikać, że mamy do czynienia z teatrem, lecz, powiedzmy, ze zbiorem tekstów, wygłaszanych przez aktorów. Tymczasem jest to teatr tak teatralny, jak Mrożek jest mrożkowy. Ale w tym teatrze co najmniej tyle co z Mrożka, jest i z Dejmka. Teatr to przewrotny, szydzący nie tylko z widza, ale i z siebie. Oto świetna scena, w której dokonuje się strip-tease sprawiedliwości. Konferansjer mówi prawdy słuszne, cytuje klasyków, zasypuje nas wiedzą ludzkości o prawie, wolności, itd., itp., ale w naszych umysłach zostaje samo tylko itd., itp., bo zajęte są nasze oczy, ciekawe, jak naprawdę wygląda ta goła sprawiedliwość, jakie ma to, a jakie tamto. Konstrukcja, która wiele mówi o naszej recepcji, percepcji, mechanizmach wyłączających myślenie.

Albo owo kichanie Przepiórki wywołujące niespodziewany kataklizm. Niespodziewany dla Przepiórki, ale przecież obiektywne prawa rozwoju, ten kielich, który się przelał...

Albo „Ssij nas"..., prosty chwyt odwrócenia sytuacji.

Albo w ogóle cała scena z Ryszardem Dembińskim, jakby Herodem mrożkowego świata, rozegrana w konwencji szopki.

Nie, nie będę opisywał, ani nawet wyliczał. W takich opisach, na które poświęcić by trzeba całe eseje, ginie smak teatru, gęstość jego aromatu, ginie sens teatru, bo jeśliby można opisać, to po co wystawiać itd. itp....

Dawno, no, może od „Łaźni", nie oglądałem teatru Dejmka w takim cudzysłowie, a jednocześnie tak konkretnego. Zapomnieliśmy o takim Dejmku, umiejącym rozgrywać teatr nie tylko w grubych konturach, ale i — skrzący się cieniusieńkim dowcipem, próbujący wielu chwytów, nie wstydzący się smacznych chwycików. Jeśliby spróbować na zimno rozebrać to przedstawienie pod kątem jego stylistyki, to łacno można by dojść do wniosku, że jest ona rozwichrzona, niespójna, z różnych parafii. Byłby to jednak zabieg morderczy i samobójczy dla rozbierającego. Z konglomeratu bowiem różnego rodzaju i różnej proweniencji stylistyk teatralnych, zaproponowanych czy sygnalizowanych tylko przez Mrożka, w sobie tylko wiadomy sposób utworzył Dejmek całość tak spójną, tak doskonale zhomogenizowaną, jak najdoskonalej przyrządzony cocktail.

VI

Otóż cocktail. Smaczne to, kiedy się wypija pierwszy łyk. Coraz smaczniejsze, kiedy wypija się drugi, trzeci. W pewnym momencie czuje człowiek, że głowa mu jeszcze pracuje, ale nogi już nie. I jeśli się w porę nie odstawi szklanki, jeszcze przed końcem przyjęcia człowiek zaczyna mieć kaca.

Jeśli się już jest na przedstawieniu „Vatzlava", nie sposób tej szklanki odstawić. Więc ją człowiek dopija. I ma kaca. Azyl w niefrasobliwie wyglądającej krainie paradoksu staje się więzieniem. Pod koniec bije się autorowi, zespołowi i reżyserowi brawa, dopóki się człowiek nie spostrzeże, że bije tymi brawami we własną skacowaną głowę, aż się echo rozlega między neuronami.

JERZY KATARASIŃSKI

Teatr Nowy, Sławomir Mrożek, „Vatzlav". Reżyseria Kazimierz Dejmek, scenografia Krzysztof Pankiewicz, opracowanie muzyczne Anna Ploszaj. Prapremiera 21 kwietnia 1979 r.

POŚREDNIK

Niepokoi fakt, że wydany ostatnio wybór szkiców krytycznych Jana Błońskiego przeszedł bez echa. Jest to niepokojące tym bardziej, że tu i ówdzie próbowano rozpętać dyskusje na temat stanu i funkcji polskiej krytyki literackiej. Żeby nie być gołosłownym, przypomnę dla przykładu dyskusję przeprowadzoną w 1977 roku na łamach „Życia Literackiego", którą Bogdan Rogatko zamknął artykułem „Krytyk literacki — zawód, czy powołanie". Można było polemizować z tym, czy przyznanie krytyce (na mocy dyskusji) statusu „zawodu" albo też „powołania" prowadzi do jakichś istotnych wniosków. Sprawa jest drugorzędna, bo podsumowanie Rogatki czego innego w istocie dotyczyło. Artykuł ten przypomniałem głównie dlatego, że Błońskiego zaliczono w nim do tych „wybitnych krytyków starszego i średniego pokolenia", którzy „odchodzą od działalności krytycznoliterackiej i publicystycznej". Nie wiem, jak z tym odejściem w przypadku Błońskiego jest naprawdę. I chciałbym uniknąć pomieszania dwóch spraw: sugerowanego zamilknięcia i obejmującego kilkanaście lat wytężonej pracy dorobku, którego przegląd znajdujemy w tomie „Odmarsz".

Zamilknięcie poniekąd sugeruje sam autor, przewrotnie nawet tytułem książki, ale warto może zwrócić uwagę, w jaki sposób to czyni:

„Wyobraźmy sobie kogoś, kto — z rozmaitych pieców chleb jadając — nie umiał jednak rozstać się zupełnie z krytyką". Teraz zaś „czuje, że coś się znowu zmienia w państwie literatury i że nadchodzi moment, kiedy padnie hasło odmarszu. Dokąd? Nie wie. (...) I podejrzewa, że narasta nostalgia za nowym rozumieniem literatury... i zarazem lęk przed nim. (...) Tymczasem musi poskładać swe papiery i zaprowadzić — choćby na chwilę — porządek. Przy tej robocie lubi jednak wyglądać przez okno, czy wielka hałastra linoskoczków i proroków, minstreli, pedagogów i duszoznawców nie zbiera się przypadkiem w nową podróż. Jak Bóg da, podąży za nimi raz jeszcze, choćby na taborowym wózku, gotów do odgrywania swej podwójnej roli — kozła ofiarnego i trojańskiego konia".

„Odmarsz" prezentuje dorobek krytycznoliteracki autora od głośnej swego czasu „Zmiany warty" z 1961 roku, przedrukowanej we fragmentach, po szkic „Polak — jakim go widzą, jakim siebie marzy", który ukazał się w 1975 roku. Książkę otwiera ów „Ofiarny kozioł i koń trojański" — niby wstęp, niby osobisty rozrachunek. Tu dowiadujemy się, że krytyk czeka, że już coś zwietrzył, lecz za wcześnie jest ponoć, by nazwać to „coś" po imieniu...

Nie bez kozery rozróżniłem wyżej domniemane zamilknięcie Błońskiego na polu krytyki literackiej (i odchodzenie co poważniejszych piór od krytyki, jako zjawisko ogólniejsze) i spuściznę krytycznoliteracką tychże. Sytuacja jest taka, że niepokojąc się o przyszłość rodzimej krytyki literackiej, poza nielicznymi wyjątkami, nie umiemy docenić tego, co mamy. Ucieka między palcami to, co mogłoby stanowić inspirującą tradycję dla tej stosunkowo młodej dziedziny literackiej działalności. Pomijam tu dokonania tych krytyków, którzy już bardzo zbliżyli się do historii i teorii literatury, dając tym samym dowód braku wiary w potrzebę i możliwości własnego zawodu.

Oczywiście nieprawdą jest, że krytyka literacka swej uznanej tradycji nie ma. Owszem, ma, ale właśnie tę uznaną przez filtr teorii, a szczególnie historii literatury, widzianą z bezpiecznej, odpowiednio unaukowionej perspektywy. Błoński powiada: „Krytyków — na dobrą sprawę — lubią tylko literaturoznawcy". I nieco dalej: „Funkcja krytyczna jest zwyczajniejsza jakby, pierwotniejsza, bardziej oczywista, niż zajęcie badacza literatury. (...) Człowiek jest najpierw i bardziej krytykiem, później dopiero literaturoznawcą". Wydaje się, że jeśli literatura biorąca swój umowny początek po roku 1945 i później posiada jakąś, nie tylko historyczną odrębność, to szukając mocnego gruntu pod nogami dla swej krytyki, w żadnym razie nie powinna tracić z oczu dokonań, które pochodzą najściślej z jej własnego podwórka.

Błoński zaprowadził w swoich papierach porządek i mówi — roi mi się, że całkiem bezpożyteczne moje pisanie nie było... Niech kto chce, zarzuca mi sentymentalizm, ale wyznam, że efekt tych porządków może rozczulić. Rzecz jest prosta i nie zdziwi się nikt, kto choć na chwilę próbował głębiej wniknąć w klimat recenzji, artykułów i publicystyki literackiej lat ostatnich. Mam na myśli głównie drobne i niezmiernie liczne prace okazjonalne, w złym, nie mającym wiele wspólnego z potrzebą czasu, znaczeniu tego słowa. Darujcie, ale wieje chłodem... Natomiast z każdej niemal strony omawianej książki Błońskiego emanuje autentyczna miłość do literatury. I to całkiem niezależnie od tego, jakie instynkty swego czasu budziły te strony w duszy autora któregoś z omawianych utworów, czy w nicowanym pokoleniu literackim.

Błoński przy tym nie jest jednym z tych miłośników, co to literaturę w całym jej ogromie kochają, lecz literatów z zasady nie cierpią. Postawa taka — obca Błońskiemu — podszyta jest jawnym resentymentem. Może ona właśnie spowodowała odmarsz — już nie metaforyczny — i miałkość przeważającej części obecnej produkcji krytycznej? Scheler, jeden z uznanych badaczy zjawiska resentymentu, powiedział, że krytyka spełnia niekiedy sama zadanie, któremu na pozór przeczy jej intencja. Filozof nie miał oczywiście na myśli krytyki w używanym tu znaczeniu, jednakże bezsporne jest, że resentyment fałszuje świat wartości i zatruwa moralność. Z tym zgodzili się nawet krytycy Schelera. Problemy te nie wydają się być Błońskiemu obce, tyle, że w bardziej pozytywnej, rzekłbym, cieplejszej postaci:

„Krytyka jest — cokolwiek się powie — dziedziną ryzyka i kaprysu, namiętności i ośłego uporu. Jest jednak także dziedziną spontanicznej swobody i uczucia braterstwa, które rodzi się w ludziach, co — niezależnie od ostrości sporów, jakie się toczą, a wiadomo, jakie bywają bolesne — umieją się wzajemnie docenić we własnej odrębności. Mało kto rozważał moralną użyteczność krytyki".

Próbowano kiedyś ośmieszyć stworzoną jakoby przez Błońskiego koncepcję dramatu krytyka, „który nie potrafi się odnaleźć na tle własnego pokolenia pisarzy i wyznaczyć wspólnie z nim linii dążeń artystycznych". Abstrahując od tego, w niektórych szkicach Błońskiego można doszukać się trochę zbyt wiele swoistego autotematyzmu. Czy to grzech? Sprawa jest dyskusyjna, ale i bez ocen wyciągnąć można z tego niebagatelne korzyści. Autotematyzm ów udostępnia bowiem czytelnikowi tok rozumowania i rozterki krytyka niejako obnażone, bez kamuflażu. Kto wie, czy nie dlatego „Odmarsz" — książka dotycząca spraw, które nierzadko „opróżniały się niejako ze swojej treści" — jest w swej aktualności pasjonująca.

IRENEUSZ DOMIENIK

Jan Błoński, Odmarsz. Kraków 1978, Wydawnictwo Literackie, s. 298.

JULIAN FAŁAT

-malarstwo

Ośrodek Propagandy Sztuki

Foto: R. Łucyszyn

RZECZ O WARYŃSKIM

Postacie historyczne, którym budujemy pomniki, których nazwiskiem zwiemy ulice naszych miast, nie mają na ogół szczęścia do tego, by poświęcano im wyczerpujące, wszechstronnie opracowane, naukowe monografie. O ludziach tych pisze się wprawdzie często i wiele, bardzo jednak rzadko w taki sposób, aby ukazać całość ich życia i działalności. Składa się na to szereg przyczyn, z których z pewnością nie najważniejszą jest trudność zgromadzenia możliwie kompletnego materiału źródłowego. Co się bowiem tyczy wybitnych historycznych postaci, zarówno tych, które czcimy my sami, jak tamtych, które czczą inni, my zaś je naganiamy, optyka zobiektywizowanego, historycznego spojrzenia nierzadko staje w konflikcie z odmiennym punktem widzenia, mianowicie z optyką wybranej tradycji. Jeśli więc kogoś uważamy za bohatera, skłonniśmy upatrywać w nim same niemal cnoty heroiczne podług naszych, współczesnych o nich wyobrażeniach. Zaś kiedy mamy do czynienia z kimś, kto jest bohaterem dla naszych przeciwników, skłonniśmy doszukiwać się w nim konsekwentnego wcielenia tych przywar i narowów, które tak gorąco dziś naganiamy. Bohater czy antybohater: to dylemat wyboru tradycji, obok którego nie sposób przejść obojętnie. Jeżeli jednak mamy ambicję być rzetelnym historykiem, jeśli dążymy do możliwie adekwatnego rozpoznania tego wszystkiego, co niegdyś rzeczywiście było, musimy sobie uświadomić, że owa tradycja, która jest naszą własną i od której uwalniać się nie ma możliwości ni potrzeby, nie może w pełni wyznaczać horyzontu naszego historycznego spojrzenia. Tymczasem w życiu bywa różnie, nieraz też wymaga się od historyka, by był jedynie tym, który przy pomocy swej sztuki dokonuje czegoś w rodzaju legitymacji tego, czego w gruncie rzeczy dawno już legitymować nie ma potrzeby, skoro stało się naszym wspólnym wyborem dziejowej tradycji.

Wszystko to sprawia, że o wybitnych historycznych osobistościach, które zajęły poczesne miejsce w naszej społecznej i politycznej tradycji, pisze się wiele dziełek popularyzacyjnych, kreślonych w konwencji „krótkiego życiorysu" czy pogadanki dla młodzieży, mało zaś poważnych, naukowych monografii. Tym większe jest więc znaczenie takiego właśnie dzieła, jeśli któryś z badaczy się o nie pokusi, a któreś z wydawnictw zdecyduje się na jego publikację. Tak właśnie proponowałbym spojrzeć na książkę Andrzeja Notkowskiego, zatytułowaną po prostu: „Ludwik Waryński", opublikowaną właśnie (1978) przez Zakład Narodowy im. Ossolińskich we Wrocławiu, a stanowiącą ambitną próbę biografii jednego z najwybitniejszych bohaterów polskiego ruchu socjalistycznego.

Historyk słusznie podkreśla, że wobec aktualnego dziś zakresu naszej historycznej wiedzy o postaci L. Waryńskiego, nie może ograniczyć się li tylko do kronikarskiego opisu jego życia i działalności. Wyczerpująca, naukowa monografia, winna — powiada A. Notkowski — „sięgać do wątków dotąd mało eksponowanych i mało znanych szerszym rzeszom czytelników. Powinna także, opierając się na świeżych materiałach źródłowych, prezentować nowe spojrzenie na szereg spraw poprzednio już poruszanych".

Czy wszystko to udało się osiągnąć A. Notkowskiemu? Z pewnością uczynił on wiele, by dojść do tak wyznaczonego, ambitnego autorskiego celu. Rzeczywiście też życie i działalność wybitnej jednostki zdołał on „wpisać w skomplikowany obraz epoki wielkich przemian, której dzieje tak czynnie współtworzyło pierwsze pokolenie marksistów polskich". Pokusił się o nowoczesną biografię bohatera, umieszczonego w historycznych realiach epoki, w której przyszło mu działać, uwikłanego w najróżniejsze konflikty, stającego raz po raz przed dylematem właściwego wyboru, człowieka, który przeszedł długą drogę, nim się stał tym, którego czcią najwyższą otoczyły pokolenia polskich rewolucjonistów. Historyk ukazał w wielostronnym świetle żywą postać, na co pozwoliła mu skrupulatnie zebrana dokumentacja źródłowa, pokazał człowieka nie bez wad, któremu nieraz przyszło popełniać błędy. L. Waryński nie jest w tej książce bohaterem z plakatu, malowanym li tylko pędzlem tradycji — jest z pewnością kimś więcej. I właśnie tu — niezależnie od tego, jakie dyskusje fachowców wywoła ta książka i jakie da się jeszcze wydobyć nowe szczegóły i uzupełnienia — widziałbym główną zasługę A. Notkowskiego jako historyka.

ANDRZEJ F. GRABSKI

W STRONĘ MISI Z GODEBSKICH

„Należy pochlubić się trochę tymi kobietami wrzącymi i głębokimi, które żyją w cieniu mężczyzn swej epoki i które na marginesie pracy artystów podejmują dzieło okultystyczne, już choćby tym że promieniują światłem silniejszym niż ich naszyjniki. Nie można sobie wyobrazić pozłocistych plafonów i Jose Marii Serta, rozsłonecznionego światła Renoira, Bonnarda, Vuillarda Roussela, Debussy'ego Ravela, proroczych projekcji Toulouse — Lautreca, pryzmatu Mallarmego, nawet ostatnich igraszek zachodzącego słońca Verlaine'a i promiennego brzasku Strawińskiego bez wyłaniającego się zdobnego we wstążki pyszczka młodego tygrysa, miękkiej i okrutnej twarzy różowej kotki — tak jawiła się nam Misia, gdy rozpoznaliśmy ją w pęku piór Szecherezady, tronującej w samym środku królewskiej loży Baletów Rosyjskich i ożywiającej swoim fluidem dekoracje teatralne i gwałtowne tańce jak ongiś impresjonistyczne ogrody rozmigotane w słońcu", tak o Misi z Godebskich pisał w 1933 roku w „Paris-Midi" Jean Cocteau.

Misia z Godebskich, a następnie po mężach — Natansonowa, Edwards, Sert, była prawnuczką Cypriana Godebskiego, poety, demokraty, konspiratora, żołnierza legionów włoskich poległego w bitwie pod Raszynem, wnuczką Franciszka Ksawerego Godebskiego, uczestnika powstania listopadowego, pedagoga, współpracownika „Trybuny Ludów" Adama Mickiewicza, kustosza Ossolineum, posła Ziemi Łuckiej na sejm warszawski w 1831 roku, była wreszcie córką Cypriana Godebskiego, wziętego rzeźbiarza, znanego w Europie i Ameryce Południowej twórcy pomnika Adama Mickiewicza w Warszawie. W paryskich salonach Misi spotykało się mnóstwo znanych i wybitnych ludzi: muzyków, malarzy, pisarzy, którym Misia była nie tylko przyjaciółką, ale i mecenaską.

O tej fascynującej Polce, zmarłej w Paryżu 15 października 1950 roku, pisze Ewa K. Kossak w książce, o której głośno było znacznie wcześniej, nim z dużym opóźnieniem dotarła wreszcie do łódzkich księgarń. Mrówcza, żmudna praca autorki, szukającej śladów Misi w wielu źródłach pisanych, w rozmowach z ludźmi, znającymi i pamiętającymi Misię z Godebskich, przyniosła w efekcie książkę, którą czyta się jednym tchem. „W stronę Misi z Godebskich" to pasjonująca biografia kobiety, która w końcu XIX i w połowie XX wieku znał artystyczny świat ludzi związanych z Paryżem i przez Paryż się przewijających.

Książkę wydano w nakładzie 20 tysięcy egzemplarzy, trzeba więc raczej szukać jej już w bibliotekach. I niestety, nie obejdzie się bez pretensji do wydawcy: czy rzeczywiście dla zbioru ciekawych, w wielu wypadkach nieznanych fotografii uzupełniających książkę, nie można było znaleźć lepszego papieru?

Ewa K. Kossak — „W stronę Misi z Godebskich", Czytelnik, Warszawa 1978, str. 485, cena zł 60.—

KU TATROM

„Ku Tatrom" to kolejne wznowienie, wydanej po raz pierwszy w 1970 roku, książki Włodzimierza Wnuka, pisarza urzeczonego Tatrami, urodzonego w Zakopanem, górom poświęcającego głównie swoją twórczość. W pierwszej książce, z cyklu poświęconego Tatrom i Podhalu, pod tytułem: „Moje Podhale", Włodzimierz Wnuk pisał o ludziach, którzy się w Zakopanem urodzili. W książce „Ku Tatrom" spotykamy się z ludźmi z dolin, z ludźmi, którzy Tatrami i Zakopanem zaczynali się fascynować w miarę ich poznania, dla których później Zakopane stało się miejscem powrotów, miejscem, gdzie odnajdywali radość, sens życia i niezmienną serdeczność zakopianczyków. Wnuk kreśli w swojej książce zakopiańskie okresy życia Henryka Sienkiewicza, Stefana Żeromskiego Kazimierza Tetmajera i Kornela Makuszyńskiego. Z postaci mniej znanych szerszemu ogółowi autor przedstawia Tadeusza Malickiego, Karola Kłosowskiego i Bronisławę Malinowską, ludzi, którzy Zakopanemu i jego mieszkańcom poświęcili swoją pracę i swoje życiowe pasje.

„Ku Tatrom" to książka nie tylko o znacznych walorach poznawczych, ale i literackich. Warta uwagi tych, których Tatry już oczarowały i tych, przed którymi jeszcze to przeżycie.

Włodzimierz Wnuk — „Ku Tatrom", Instytut Wydawniczy PAX, Warszawa 1978, str. 201, cena zł 60.—

ZDARZENIA I ZWIERZENIA

SIERADZKI MODEL

Kiedy dokonała się w Polsce reforma administracyjna, stało się jasne, że ambicje i apetyty kulturalne nowo kreowanych województw niepomiernie wzrosną. Tak też się stało i trudno — oczywiście — uważać tę sytuację za niekorzystną. Od dawna wiadomo, że ludzkie snobizmy kulturalne są zjawiskiem pozytywnym. Ale i snobizm ma swoje racjonalne granice.

Pamiętam, że krótko po decyzji nowego podziału administracyjnego jeden z warszawskich tygodników publikował cykl wywiadów z dyrektorami wydziałów kultury nowych województw. Czego tam nie było! Co drugie województwo planowało sobie teatr zawodowy, co trzecie filharmonię, prawie każde chciało mieć swoje pismo, niektóre marzyły o wydawnictwach. Były to modele awansu kulturalnego o charakterze instytucjonalnym, zrodzone z przekonania, że instytucja, niejako automatycznie — jak to się mówi — zabezpieczy awans kulturalny regionu.

Obecnie — po paru latach — wiemy, że wielu nowym województwom ów instytucjonalny model się udał. To znaczy, że udało się powołać wymarzone placówki artystyczne. Ale to nie znaczy, że ów model się sprawdził. Wiemy jakie upadki przeżywał teatr w Płocku, umilkły fanfary po gromkim otwarciu teatru w Radomiu, mało raczej słychać o nowych filharmoniach...

A jednak instytucjonalny model awansu kulturalnego jest modelem niezniszczalnym. Trochę dlatego, że zaspokaja ambicje władz, trochę dlatego, że jego realizacja jest stosunkowo najprostsza. Właśnie — najprostsza. Wystarczy przecież tylko przekonać kogo trzeba, wygospodarować budżet i sprawa jest załatwiona. Z obsadą personalną instytucji artystycznych też nigdy nie ma kłopotu — wiadomo przecież, że na kulturze zna się każdy — od sekretarza urzędu gminnego po dyrektora rzeźni miejskiej.

Poza tym instytucja kulturalna jest przedsięwzięciem wysoce spektakularnym. Ładnie wygląda w sprawozdaniach — samo jej istnienie niejako automatycznie dokumentuje awans kulturalny regionu.

Natomiast to, co jest tego awansu istotą i sednem — a więc działalność kulturalna, program ideowo-artystyczny — to są sprawy trudne, niewymierne, często mało spektakularne — wymagające nie jednorazowego zrywu — ale codziennej, żmudnej pracy. Pracy, której efekty nie przychodzą w ciągu jednego sezonu.

Można mocą decyzji administracyjnej powołać teatr — trudniej rozwijać kulturę teatralną, w regionie pozbawionym tego rodzaju tradycji.

Od dłuższego czasu z zainteresowaniem obserwuję działalność kulturalną województwa sieradzkiego — właśnie dlatego, że sieradzki model awansu kulturalnego jest zaprzeczeniem tych wszystkich wynaturzeń i przerostów ambicjonalnych, o których wyżej była mowa.

Dokonania i inicjatywy sieradzkich władz i sieradzkich działaczy kultury nie polegają bowiem na mnożeniu bez potrzeby instytucji i urzędów, ale wykorzystują już istniejącą bazę. Lokalizacja owej bazy — jej karta meldunkowa — nie jest dla sieradzkich działaczy istotna. I słusznie.

Oczywiście znakomitą rolę popularyzatorską spełniają foldery literackie wydawane przez Wojewódzki Dom Kultury czy Wojewódzką Bibliotekę Publiczną. Ale Sieradzowi nie trzeba było własnego wydawnictwa, aby rozpocząć bardzo interesującą serię edytorską. Po prostu nawiązano twórczą i owocną współpracę z Ludową Spółdzielnią Wydawniczą w Warszawie.

Leżą właśnie przede mną trzy pierwsze książki z serii „Arkuszy sieradzkich". Zbiór przewrotnych opowieści Eugeniusza Iwanickiego „Miałem dobrego pana", tom poetycki Ziemowita Skibińskiego „Dalekie źródła" oraz tom poetycki Feliksa Rajczaka „Ballada o lęgach". Książki wydano starannie, mają one przemyślany i jednolity wystrój graficzny — a przede wszystkim nie jest to żadna uboczna produkcja literacka „na okoliczność". Wszystkie trzy książki to propozycje artystyczne godne uwagi, wiele tu strof i stronic naprawdę wysokiej artystycznej próby.

Działacze kulturalni z Sieradza udowodnili, że można nie walczyć o wydawnictwo, a publikować interesujące książki.

Podobnie rzecz się ma z teatrem. Sieradz nawiązał współpracę z teatrem w Kaliszu — mówi się zresztą o rozszerzeniu tych kontaktów, mówi się o przeglądzie sztuk, o czymś w rodzaju Tygodnia Kultury Teatralnej... Nie wiadomo oczywiście co z tych planów wyniknie, ale jedno powiedzieć można z całą pewnością. Kierunek działania jest słuszny, przemyślany — w polityce kulturalnej województwa sieradzkiego dominuje rzetelność. Tu się naprawdę nic nie robi na pokaz, to nie są działania dla sprawozdań i statystyki — to są działania dla ludzi.

Sieradzki model awansu kulturalnego — dawnego, nie największego przecież — powiatu, jest modelem budzącym zaufanie; dalekim od fasadowości i partykularnych zadęć. Modelem o spójnej koncepcji — przemyślanym i rzetelnym.

WIDOK

PROPOZYCJE

TŁUSTA PLAMA

Niech sobie inni nie myślą, że jesteśmy gorsi. Nie tylko morza i oceany zanieczyszcza się wielkimi plamami ropy naftowej, która albo wycieka z uszkodzonych tankowców, albo przy awarii wież wiertniczych porozstawianych już gęsto na morskich wodach. My wprawdzie ropy naftowej w Łodzi nie posiadamy, ale posiadamy natomiast zanieczyszczony ropą naftową Staw Stefańskiego w Parku 1 Maja. Mamy też winowajcę. Jak poinformował „Express Ilustrowany", a także „Głos Robotniczy" winę za zanieczyszczenie Stawu Stefańskiego ponosi Zakład Naprawczo-Produkcyjny Maszyn Rolniczych w Żdżarach. Sprawa znalazła się u prokuratora.

Jesteśmy lepsi od Warszawy. Szybko i skutecznie zadziałali nasi ludzie od ochrony środowiska. Wprawdzie zdrowia a może i życia rybom ze Stawu Stefańskiego to już nie wróci, ale winowajca będzie ukarany. Wprawdzie długo nie będzie można kąpać się i wiosłować po tym stawie, ale wiadomo przez kogo i do kogo można mieć pretensje. Zakład Naprawczo-Produkcyjny Maszyn w Żdżarach zapłaci zapewne karę, ale jeśli nie posiada oczyszczalni ścieku, to nic to nie pomoże, bo za jakiś czas znów wyleją jakieś świństwo tam, gdzie nie trzeba i cała sprawa zacznie się od nowa.

Mimo to jesteśmy lepsi od Warszawy, bo tam kilka niesfornych zakładów produkcyjnych z Liniami Lotniczymi LOT zanieczyszcza staw w Parku Wilanowskim i nic nikt nie może z nimi poradzić. Nawet telewizja, a moc telewizji jest już sprawdzona. Chyba, że sprowadzimy gwałtownie do Polski redaktora Maja, który ostatnio uratował świat przed zagładą atomową, to może i Park Wilanowski uratuje przed dewastacją? Tu jeszcze raz się zastrzegam, że chodzi mi o redaktora Maja z telewizyjnego serialu „Życie na gorąco", a nie o redaktora Mariana Maja z łódzkiej rozgłośni Polskiego Radia.

Ale jesteśmy gorsi od Anglików. Anglicy poradzili sobie z trucicielami Tamizy i oto, co jakiś czas, dowiadujemy się, że w wodach Tamizy żyją już ryby, nad rzeką mieszkają ptaki, że na brzegu siedzą wędkarze i łowią. A przecież nie tak dawno Tamiza była martwa, wprawdzie nie tak, jak nasz Ner, ale też nielicho.

„Rocznik statystyczny" zawiera specjalną tabelę, na której uwidoczniono stopień zatrucia wód w niektórych polskich rzekach. Z tej tabeli wynika niezbicie, że najczystszą naszą rzeką jest Pisa, dopływ Narwi, a najbrudniejszą — Ner, dopływ Warty. Można w tej tabeli zobaczyć, że mamy mało rzek, w których są wody o pierwszej klasie czystości, czyli takie, które można czerpać do wodociągów oraz w których mogą żyć ryby łososiowate. Ale z tego wszystkiego nic jeszcze nie wynika. Jest to po prostu stwierdzenie stanu faktycznego, który jest taki, jaki jest.

Kiedyś widziałem w telewizji film, z serii „Bolek i Lolek", jak obaj chłopcy uratowali życie w rzece. Jest to piękna bajka dla dzieci i dorosłych, w której zwycięża dobro i sprawiedliwość, a nawet dyrektor fabryki zanieczyszczającej środowisko jest miły i sympatyczny i szybko daje się nawrócić na drogę cnoty. Wszyscy się cieszą, bo ze ścieków płynie już czysta woda, a Bolek i Lolek znów zrobili coś pożytecznego dla świata. Tylko, że w życiu nie wszystko tak ładnie układa się jak w bajce. Wystarczy sięgnąć do tegoż samego „Rocznika statystycznego", aby przekonać się, że w ciągu ostatnich trzech lat wielkość ścieków wymagających oczyszczenia wcale się nie zmieniła, choć wzrosła wielkość ścieków oczyszczanych. Jest to w pewnym sensie naturalna konsekwencja rozwoju gospodarki, a przede wszystkim techniki i technologii. Dużo łatwiej jest sprowadzić nowe maszyny, zastosować nowe technologie, dające duże ilości szkodliwych ścieków, niż wybudować oczyszczalnię dla tych ścieków.

Często informując o zatruciu środowiska rzucamy gromy na głowy ludzi, których uznajemy winnymi tego faktu. To prawda. Nie mam zamiaru wcale ich rozgrzeszać. Ale czasem są w sytuacji bez wyjścia, muszą dokonać wyboru: czy nie zrealizować zamówienia, zatrzymać produkcję, czy zatruć środowisko? Co by wybrał każdy z nas? My oczywiście kochamy przyrodę i nie spoczywa na nas żadna odpowiedzialność, na przykład za realizację terminowych zamówień eksportowych.

Trzeba podnosić wrzawę na widok tłustych plam na wodzie, ale na tym nie poprzestawać. Ukaranie jednego, czy drugiego winnego skażenia środowiska sprawy nie rozwiązuje, bo nie gwarantuje, że fakt taki kiedyś się nie powtórzy. Można przecież płacić kary i nadal truć środowisko. Gwarancją natomiast jest system zapobiegający takim procederom. Ale, aby taki system stworzyć potrzeba pieniędzy, urządzeń i czasu. Trzeba, aby elementy takiego systemu powstawały wraz z realizacją programów inwestycyjnych. A tu też czasem grasuje lekkomyślność, brak myślenia o przyszłości, doraźność. Uczmy się więc myśleć o ochronie środowiska kompleksowo. I tak działać. Żeby wody były czyste i trawa zielona.

MARCIN RODAK

SPOJRZENIE

PRZYPADEK I KONIECZNOŚĆ

Zacząć wypadnie od kilku oczywistości. Wśród instytucji kulturotwórczych jest telewizja, od lat kilkunastu, animatorem najpotężniejszym. Atrakcyjny program ogląda w Polsce widownia, którą nawet przy ostrożnych statystykach oceniać należy na kilkanaście milionów widzów. Porównanie tej widowni z odbiorcami książek (jednorazowy nakład — załóżmy optymistycznie — wynosi 20 tysięcy egzemplarzy), z publicznością teatralną (najlepsze spektakle gromadzą w sumie około 15 tysięcy osób), z liczbą czytelników czasopism i dzienników, jest pójściem na felietonową łatwiznę. Nawet kinowe przeboje ostatniego trzydziestopięciolecia z mozołem zdartej taśmy dobijają się kilku milionów widzów. Tu jednak na statystykę składa się wysiłek całych pokoleń. A w telewizji spikerka z niejaką nonszalancją zapowie kolejny odcinek serialu i już szurają krzesła, toczą się fotele w milionach mieszkań.

Dosyć tej pseudosocjologii. Wdałem się w nią, aby uświadomić nam wszystkim, co znajduje się za tymi, już dawno wyważonymi, drzwiami. Myśląc zdroworozsądkowymi kategoriami można byłoby sobie wyobrażać, że telewizja zabiega o swoją publiczność, że stara się ją świadomie kształtować, że próbuje kierować odbiorem programu, że — już kończę to zdanie — rzetelnie informuje o tym, co będzie prezentować, o czym i dlaczego trzeba przed telewizorem usiąść. Czy tak jest? Zastanówmy się wspólnie. „Nasz drogi telewidz" ma, teoretycznie, w zasięgu ręki następujące informacje o programie: po pierwsze, w zasłużonym skądinąd, tygodniku „Radio i Telewizja" (jaki jest jego nakład i jak go kupić? Na to pytanie nie umiem odpowiedzieć.); po drugie, w „rozumowanych zapowiedziach" z paru tygodników, np. „Perspektyw" i „Panoramy" (pytanie i odpowiedź jak wyżej); po trzecie, w zamieszczanych, wśród ogłoszeń drobnych, omówieniach w gazetach codziennych (dlatego, w sobotę, po dzienniki trzeba wyjść wcześniej od mleczarza); po czwarte w telewizyjnej „Antenie" i takichże cowieczornych informacjach. Wybór, wydawałoby się, niezły. Ale to pozór tylko i — jak się rzekło — teoria. „Radio i Telewizja" drukowana jest z wielodniowym wyprzedzeniem. Stąd informacje tam zawarte są ledwo zarysem przyszłego programu. Sięgnijmy do ostatniego numeru. W programie na wtorek przewiduje się m. in.: 14.00 — program muzyczny, 14.20 — program rozrywkowy, 16.30 — film fabularny. Albo często można przeczytać 14.00—23.30 — Studio 8, itd. itd. Pomijam już to, że zapowiadane programy nie wchodzą często na antenę. Ile razy zaanonsowano w teatrze poniedziałkowym „Bal manekinów" Brunona Jasieńskiego? Rozumiem. „Telewizja zastrzega sobie prawo zmiany programu". Jasne. Nielepiej wygląda ta — jak powiedziałem — rozumowana zapowiedź w „Perspektywach". Nie te filmy, nie te programy, nie te godziny. Zostają gazety. Zawarte w nich informacje odpowiadają temu co potem w tv można obejrzeć, choć bywają wyjątki. Ale to dopiero jedna strona medalu.

Przyznają mi telewizyjni widzowie, że oprócz tytułu filmu i kraju, który go wyprodukował, chcieliby wiedzieć, o czym ten film będzie, dlaczego warto go obejrzeć. Ze zwiastuna, który telewizja pokaże nie wynika nic. Bo oto wchodząc do salonu jakaś blondynka powie „dzień dobry Karolu", „dzień dobry" odpowie szatyn. Koniec fragmentu. Nawet cykliczne programy w rodzaju arcyciekawego „Skarbca", „Cameraty", stołecznego „Pegaza" itp. mogłyby być zapowiadane z omówieniem ich zawartości, przynajmniej ważniejszych felietonów. Uwagi te odnieść trzeba do całego niemal programu telewizji.

W najlepszej sytuacji jest poniedziałkowy teatr, bo oprócz tytułu i autora podaje się nazwisko reżysera i wykonawców, także twórcę scenografii i muzyki. A i każdy spektakl poprzedzony jest krótkim omówieniem. Telewizja prezentuje też etap przygotowywania sztuki. Tu wszystko wiadomo. I redakcja filmowa poinstruuje nierzadko „jak patrzeć na film". Generalnie jednak widz skazany jest na przypadek, na los szczęścia. Dzięki temu przypadkowi obejrzałem znakomitą „Kronikę polską" Galla — Królikiewicza, „Godzinę zero" — wstrząsający film o Kambodży, ale nie obejrzałem za to „Lekcji anatomii" K. Zanussiego (o które ciekawie pisał na tych łamach Władysław Orłowski), bo w gazecie przeczytałem enigmatyczne „Film tv na świecie" i nic poza tym. Taki rejestr gry trafu i szczęścia mógłbym długo kontynuować. Czy jest jakieś remedium, aby wykluczyć te „faites vos jeux messieurs!"?

Jeśli odbiorca telewizyjny nie chce siedzieć przed odbiornikiem przez cały czas trwania programu (to ta tytułowa konieczność), aby czegoś wartościowego nie przegapić powinien: po pierwsze, oglądać te programy o których nie ma żadnej informacji, albo te, które zostały nazwane najniewinniej np. „Pada deszcz"; po drugie włączać telewizor możliwie najpóźniej — około godziny 22.30; po trzecie, siadać przed odbiornikiem wtedy, gdy przed programem zapowiedziana została dyskusja z udziałem dwóch profesorów, pisarza i redaktora; po czwarte, gdy spiker zapowiada program jako kontrowersyjny i trudny; po piąte, oglądać program II, gdy w pierwszym idzie amerykański western, lub kolejny odcinek serialu.

Powie ktoś, że to żarty. Odpowiem wtedy jak pewna, zapoznana już osobistość: żarty, a może raczej półżarciki. Tak długo będą one miały rację bytu, jak długo telewizja nie zadba o pełną i wyczerpującą informację o tym co będzie przekazywać. Pozytywne wyjątki „Trybuny Ludu", „Życia Warszawy" (w wydaniach sobotnio-niedzielnych), „Ekranu" są ledwo zauważalne w kształtowaniu świadomego i odpowiedzialnego odbioru telewizji. A „Radio i Telewizja", zwłaszcza w odniesieniu do drugiego członu swojego tytułu, od dawna już przestała pełnić jakiekolwiek funkcje informacyjne.

GRZEGORZ GAZDA

Z GALERKI

JERZY MICHALAK STANISŁAW OCHMAŃSKI

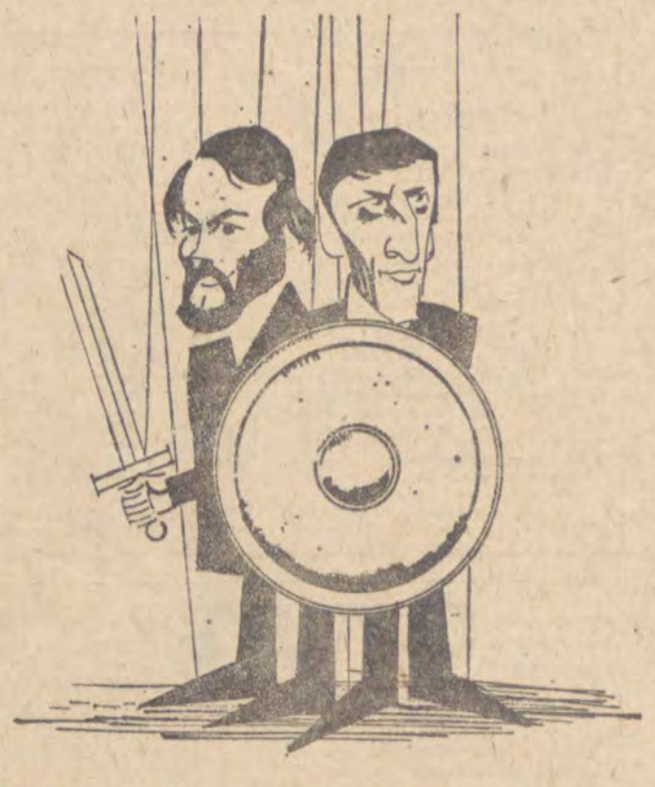

„Wydamy każdemu walkę Kto podniesie choćby Palec na lalkę!".

Rys.: Stanisław Ibis-Gratkowski
Tekst: Mieczysław Michał Szargan

SPORT

Ciężkie życie optymistów

— I czego wy się martwicie? — zdziwiła się moja przyjaciółka, która przysłuchiwała się dyskusji o hokeistach, po kolejnym przegranym przez nich meczu. — Jak oni mają wygrywać, kiedy są tak grubo ubrani, a piłka jest taka mała, że prawie jej nie widać?

Dla mnie nasi hokeiści pojechali nie na te mistrzostwa, na które trzeba było pojechać. Pojechano do Moskwy na mistrzostwa, jakie sobie nasi działacze i trenerzy wymarzyli, nie zastanawiając się, czy realia będą odpowiadać imaginacji. Okazało się, że nie. Przyszła smutna rzeczywistość, w której nasi hokeiści obudzili się bardzo zdziwieni. W efekcie nie wygrali ani jednego meczu, a tylko dwa razy zremisowali. Trochę to mało, żeby utrzymać się w grupie „A". Spotkała nas zasłużona nagroda. Wróciliśmy do grupy „B". Można powiedzieć, że nasz zespół obejmie etat wędrowniczka: awans do grupy „A", spadek do grupy „B", awans do grupy „A"... Ale i tu nie ma żadnej pewności, że cykl taki może się długo powtarzać.

Sprawozdawcy chwalili naszą drużynę hokejową za „poprawę gry ciałem", dobrą szybkość, sprawne przechodzenie z obrony do ataku. Cóż z tego? Strzelać ich nie nauczono. A bez tego można się tylko fascynować elegancją gry. Tylko, że w hokeju wcale o to nie chodzi. I wiedzą o tym już maluchy, które na osiedlowych uliczkach uganiają zimą za hokejowym krążkiem.

Lista młodych ludzi, którzy w naszym kraju uprawiają hokej na lodzie nie jest długa. Coś około 1,5 tysiąca osób. W innych krajach są to dziesiątki tysięcy młodych ludzi. Poza tym nie mamy w nadmiarze krytych lodowisk, a i zimy, jak na ironię, bywają różne. Dlatego znaleziono inne rozwiązanie. Otóż zapanowały w naszym hokeju mody. Raz modny jest styl gry czeski i wtedy przyjeżdża do Polski trener z CSRS, innym razem modny jest styl radziecki, i wtedy przyjeżdża do Polski trener z ZSRR. Ale stare polskie przysłowie głosi, że tak krawiec kraje, jak mu materiału staje, a mówi się też, że nawet w Paryżu nie zrobią z owsa ryżu. Więc i importowani trenerzy nie zrobią mistrzów świata z ligowych partaczy.

Trenerzy z racji swojej pracy muszą być optymistami. Przed każdą ważną imprezą zapowiadają niebywałe sukcesy, które później jakoś rozpływają się w miernej rzeczywistości. Trenerom rzadko pamięta się te zapewnienia, ale i tak wszystkie gromy później spadają na ich głowy. Czy rzeczywiście zasłużenie?

Reprezentacje w hokeju i piłce nożnej właściwie przygotowuje kilku trenerów. Przyjęto u nas teraz taką zasadę, że zawodnik zdobywa podstawowe umiejętności w klubie, a trenerzy reprezentacji doskonalą je na zgrupowaniach, uczą taktyki i strategii. Odpowiedzialność za poziom przygotowania reprezentacji spada więc w jakimś stopniu na wszystkich trenerów. Tylko ci, z klubów, mają na uwadze przede wszystkim swój interes, który odpowiada interesowi klubu. Ich obowiązkiem jest robić punkty. I robią. Ale do ligowej przepychanki nie potrzeba znów tak wielkich umiejętności. To ani liga angielska, ani holenderska, czy jakakolwiek inna. Czasem wystarczy samobójcza bramka przeciwnika, aby wyjść z honorem i jednym punktem ze spotkania. A w końcu punkty więcej znaczą od honoru. Liczą się tylko punkty i jeśli trener nie gwarantuje swoją pracą punktów, to przestaje się liczyć w zarządzie klubu i może szukać sobie pracy.

„Rezerwowy" z „Literatury" obwinia Ryszarda Kuleszę za porażkę w Lipsku. Jego zdaniem Ryszard Kulesza źle zestawił wszystkie formacje. Nie zmienił koncepcji meczu po przerwie, kiedy już było widać, że drużyna „siada". Ale gdyby nawet Ryszard Kulesza miał same genialne koncepcje, to i tak nic by nie poradził na brak szybkości i kondycji naszych wspaniałych chłopców. Teraz ponoć znalazł receptę na Holendrów w Chorzowie. Ale ja już w to nie wierzę, tym bardziej że Holendrzy też znaleźli receptę na Polaków i chyba skuteczniejszą, bo to jest łatwiejsze.

Wniosek z tego jest bardzo prosty. Trzeba się na coś zdecydować. Albo na utrzymanie obecnej formuły przygotowań, to znaczy na złożenie odpowiedzialności za te przygotowania na kluby, wiedząc, że one i tak się z tego nie wywiążą, bo swój interes kładą na pierwszym miejscu, albo wrócić do obozów przygotowawczych, nie przejmując się specjalnie ligowymi rozgrywkami. Niech się kluby boczą. Coś trzeba wybrać, bo to i Olimpiada w Moskwie, i mistrzostwa różne też się będą odbywały, mimo naszych klęsk i niepowodzeń. A więc?

Teraz mamy kolejny zastrzyk optymizmu. Całą fontannę niemal. Poprzedza ona kolejny Wyścig Pokoju, który rusza 9 maja. Mamy nieźle przygotowaną drużynę. Trzeba spodziewać się sukcesu. Nasi chłopcy zbierają laury na zagranicznych wyścigach. Są ambitni i pełni zapału. Będzie lepiej. Zobaczymy. Oby ten kolejny sprawdzian nie dostarczył nam następnego rozczarowania.

BOGDA MADEJ

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa-Książka-Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe w Łodzi — dyr. Piotr Sagan. Adres redakcji: ul. Mickiewicza 12, kod poczt. 90-438 Telefony 652 44 sekretariat i red naczelny 680 99, 677 70 Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch" — dyr. Bogusław Kucab. Nr indeksu 26762. Zam. 981. A-14.

Załącznik nr. 24/-/79

HASŁO NUMERU: PRZED WYJŚCIEM Z DOMU WYŁĄCZ ZBĘDNE HUMORY

TO i TAMTO

Będziemy dyskretni

W „Kulturze", w dyskusji damsko-męskiej wyznaje Magda Leja:

„To samo, choć nie tak samo, pisałem w „Sztandarze Młodych", a jestem, słowo honoru, kobietą".

Pani Magdo — niech się jednak pani upewni. Będziemy dyskretni.

Taniej — lepiej?

Red. Zdzisław Szczepaniak z „Dziennika Popularnego" nie kupił w sklepie z zabawkami importowanej zapalniczki gazowej za 1.600 zł, gdyż, jak twierdzi, „Jako tradycjonalistą wolę wetknąć w rękę dziecka zapałki. Tanie, a skutek podobny".

Tak, ale ile się dziecko namęczy?

Kto został?

Jerzy Lechowski obserwując mecz Polska — NRD w Lipsku doszedł do smutnego wniosku, którym podzielił się z czytelnikami „Piłki Nożnej":

„Sądzę, że powoli zbliżają się chwile pożegnań dla takich zawodników jak: Sybis, Mazur, Rudy (nie sprawdzają się w reprezentacji), że jeszcze nie nadszedł czas: Majewskiego — gdy nie przygotowany, Wróbla — bo jeszcze zbyt miękki, Janasa — bo na pozycji forstopera lepszy Żmuda, wreszcie — Nawałka i Ćmikiewicz mogą grać w reprezentacji tylko wówczas, gdy będą w pełni sił fizycznych i zdrowia, a Szymanowski — gdy wykaże w walce więcej zaangażowania".

Do nie wymienionych też można mieć różne zastrzeżenia. Kto wtedy zostaje? Sam bramkarz.

Nie szukać!

Komenda Miejska MO w Przemyślu i „Sztandar Młodych" poszukują bezskutecznie właściciela... walca drogowego. Walec ten stoi w Przemyślu od listopada 1978 roku. Domorośli mechanicy wymontowali już z niego różne części. Jak tak dalej pójdzie, to z walca mało co zostanie.

I dobrze, gdyż podejrzewamy, że jest to właśnie ten walec, który przychodził i wyrównywał. Teraz już nie przyjdzie.

Dobry pomysł

Atrakcyjną metodę wyszczuplającą proponuje TKKF w Jeleniej Górze. Wystarczy na adres tego TKKF (Jelenia Góra 9, skrytka pocztowa 54) wysłać 50 zł, aby otrzymać program ćwiczeń i diety. Skutek gwarantowany, dla kieszeni.

Kto posprząta pole mokotowskie?

Z takim pytaniem zwróciło się do czytelników „Życie Warszawy". Jak znajdą się chętni, prosimy nas powiadomić. W Łodzi też jest to i owo do posprzątania.

TEORIA I PRAKTYKA

XII Ogólnopolski Festiwal Poezji, który odbył się w Łodzi w maju 1978 roku i był poświęcony sztuce translatorskiej, znalazł swoje ciekawe, prasowe przedłużenie. Oto w sierpniowym zeszycie **„Literatury na Świecie"** z roku ub. **Edward Balcerzan** ogłosił swój festiwalowy referat **„Przekład poetycki w systemie kultury poetyckiej"**, gdzie poddał surowej wiwisekcji tłumaczenie wiersza **Maryny Cwietajewej „Popytka riewnosti"** dokonane przez **Joannę Salamon.** „Z dwóch znanych mi polskich przekładów tego liryku wybieram taki, który się bardziej nadaje do prezentacji metody" — zauważa doc. Balcerzan — nb. autor antologii **„Pisarze polscy o sztuce przekładu 1440—1974".** I metodycznie odmówiwszy przekładowi pani Salamon jakiejkolwiek wartości Balcerzan konkluduje: „Polski przekład jest prostoduszny. Jak żyjesz, jak czas ci schodzi, czy nie zżymasz się, czy nie wadzisz, czy rzeski wstajesz. Nic z upokorzenia, nic z zemsty. Sama litość, czułość, sentymentalizm. Cwietajewa polemizuje z tradycją melodramatu. Przekład wpycha wiersz na powrót w melodramat".

W tym samym zeszycie „LnŚ" Balcerzan opublikował swoje wzorcowe przekłady wierszy **Borysa Pasternaka,** nieopatrznie drukując obok oryginały. I oto w trzecim tegorocznym zeszycie „LnŚ" Joanna Salamon ogłosiła swoje **„Uwagi na marginesie referatu docenta E. Balcerzana"** poddając surowej wiwisekcji dodonany przez Balcerzana przekład liryku Pasternaka **„Nie trogat".** Wiwisekcja, dokonana przy pomocy metody poznańskiej szkoły przekładowej, pozwoliła Joannie Salamon na ostateczną konkluzję: „Pozostaje mi wyrazić swe bezbrzeżne i błogie ubolewanie (żeby na „be"), że redakcja takiego poważnego i cenionego miesięcznika, jak „Literatura na Świecie" — drukuje niefrasobliwie na swych łamach takie antywzorce przekładowe jak „Ostrożnie" pana docenta Edwarda Balcerzana (w pozostałych przekładach wierszy B. Pasternaka zamieszczonych w tym numerze można zrywać podobne kwiatki). Drukując takie przekłady redakcja wyrządza krzywdę cenionemu i wnikliwemu teoretykowi, jakim jest niewątpliwie pan docent Balcerzan".

Ciekawi nas bardzo, czy docent Balcerzan włączy tekst Joanny Salamon do nowego wydania swojej antologii „Pisarze polscy o sztuce przekładu" ...

J. DARNAL

OFERTY

Ogłoszenia drobne bywają pouczające, interesujące, ale mogą też być zabawne. Oto garść autentycznych ofert, które budzą nieoczekiwane skojarzenia.

Dla leniwego stolarza:
„Przyjmę stolarza i pomoc..."
Dla amatora:
„Angielka potrzebuje pomoc wieczorami..."
Dla naiwnych:
„Odnajmę M-3 na rok — dwa za pokój w Londynie..."
„Kocięta — odchowane, łagodne i wesołe, dobrze wychowane — oddam w dobre ręce..."
Przekonujące:
„A jednak najtaniej naprawisz lub kupisz siatko-świder do studni z dobrego surowca..."
Oferta roztargnionego:
„Nagroda za wskazanie miejsca postoju Fiata 125p koloru niebieskiego..."
Miłośnika zwierząt:
„Przyjmę konia sportowego na stancję..."
Budząca dobre samopoczucie:
„Szwaczki i rencistki potrzebne..."

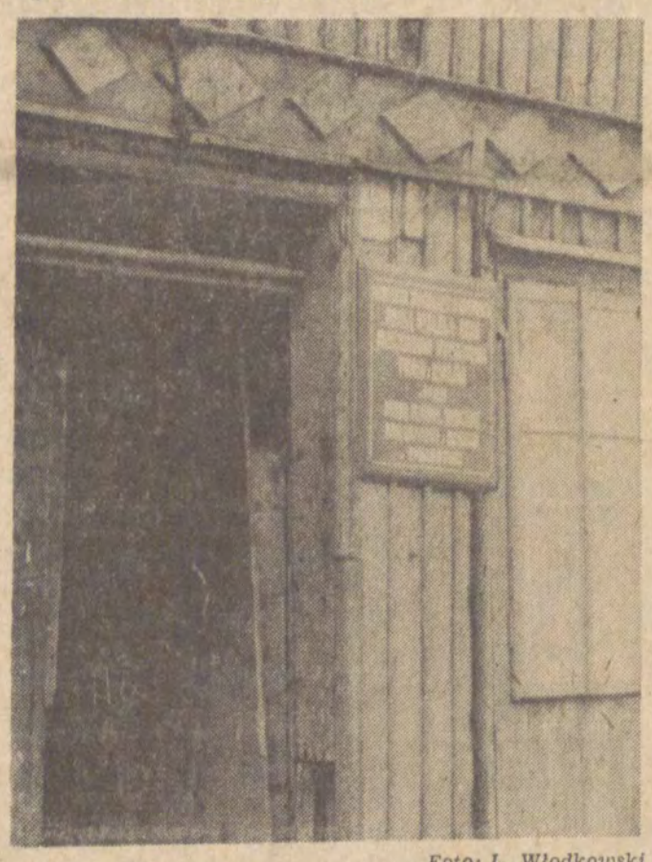

Foto: L. Włodkowski

Za takimi „drzwiami", w obskurnej, pamiętającej chyba jeszcze XIX wiek szopie (której zaledwie fragment przedstawia nasze zdjęcie, dysponujemy jednak pełną dokumentacją) mieści się w Żyrardowie Dział Kolportażu i Ekspedycji RSW „Prasa-Książka-Ruch", czyli nasza prasowa delegatura...

Na taki widok nawet znajomość kłopotów lokalowych tego miasta nie mogła nas powstrzymać od pytania: czy w roku 150-lecia Żyrardowa nie mógłby nas spotkać skromny prezent od jego władz — w postaci jakiegoś bardziej normalnego miejsca pracy dla naszej reprezentacji?...

Z ŻYCIA SFER

Konrad Frejdlich aż dwukrotnie zgodził się z Bohdanem Porębą, co — piórem Konrada Frejdlicha zresztą — odnotowały „Odgłosy" (nr 17)...

* ★ *

„Największą karierę robi kit" — zapewnił czytelników „Głosu Robotniczego" Jerzy Pilichowski (w nr 94)....

* ★ *

Aktorska para na ślubnym kobiercu. W związek małżeński wstąpili 24 kwietnia: Zofia Grązlewicz i Leon Charewicz, aktorzy łódzkiego Teatru Nowego. Uroczysty powrót weselnego korowodu z USC obserwowali tego dnia licznie zgromadzeni mieszkańcy Śródmiejskiej Dzielnicy Mieszkaniowej. Redakcja „Załącznika" przyłącza się do gratulacji i najlepszych życzeń.

HORACY SAFRIN:

Militarystom bredzącym o „niebezpieczeństwie" przydałby się kaftan bezpieczeństwa.

...Ale jeszcze jeden as w rękawie nigdy nie zaszkodzi

ZANIM ZADZWONISZ PRZECZYTAJ

Zgodnie z obietnicą, drukujemy dziś dwa kolejne odcinki książki telefonicznej 1976—77:

odcinek 3:
początku spisu. W obrębie danej miejscowości;
odcinek 4:
abonenci zostali umieszczeni w porządku;

(dokończenie nastąpi)

W związku z listem ob. Leona Spisakiewicza wyjaśniam, iż przedruk starej książki telefonicznej zamierzamy ukończyć około roku 2016; są nadzieje, że po tym terminie ukaże się gdzieniegdzie nowa książka.

Z cyklu „PUDŁA"

W 17 numerze „Odgłosów" Konrad Frejdlich pisząc o filmie „Polonia Restituta" podaje, że będzie on realizowany „między innymi w Leningradzie, Moskwie, Dreźnie, Berlinie, Poczdamie, Budapeszcie, Paryżu, Londynie, a także w czeskich Tatrach".

Pragniemy zapewnić autora, że ten fragment Tatr (większy, niestety!), który należy do naszych południowych sąsiadów, położony jest bez wyjątku na terenie Słowacji. W ostatnim czasie również nie zanotowano pod tym względem żadnych zmian. Aby to sprawdzić, nie trzeba jeździć w Tatry Słowackie. Wystarczy rzut oka na mapkę CSRS w Małej Encyklopedii Powszechnej (s. 190).

* * *

W 94 numerze „Głosu Robotniczego" o filmie „Weselę" Altmana pisze p. M. Karbowiak: „Mamy tu do czynienia z czymś, co można byłoby nazwać współczesnym drobnomieszczaństwem, z czymś, co byłoby w jakimś sensie bliskie Bunuelowi w „Szlachetnym uroku burżuazji".

Film Bunuela, jak wiadomo, nosi tytuł „Dyskretny" urok burżuazji", co jest tłumaczeniem z francuskiego: „La charme discret de la bourgeoisie"... Tytuł ten przeniknął już do języka potocznego i jest tak znany, że w przypadku red. Karbowiak zacytowany lapsus mogło — jak sądzimy — spowodować jedynie ogromne zmęczenie, które prześladuje ostatnio wytrawną recenzentkę... Na niewyspanie i zmęczenie poskarżyła się M. Karbowiak osobiście w tej samej recenzji, zatytułowanej wymownie: „Ratunku! Znów trzeba iść do kina!". Powodem protestu stało się zbytnie nagromadzenie interesujących przeglądów filmowych w okresie wiosennego przesilenia...

POETYCKA SPÓŁDZIELNIA PRACY świadczy usługi dla ludności

NIGDY WIĘCEJ

Wrzesień ów zaczął się krwawo
Najeźdźcy na Polskę napadli
Parli w głąb kraju ławą
bezwzględni, krwiożerczy, podli.

Przeciwko potężnej armii
Polak stanął z bagnetem
I tylko okrzyk: „Za mną!"
Ciął wroga niby batem...

Kampania wrześniowa upadła
Lecz nie zaginął w narodzie duch
Szybko piękna decyzja zapadła
I już idą pojedynczo, po dwóch...

Dokąd idziecie? Dokąd tak śpieszycie?
Co was gna? Gdzie? I po co?
„Idziemy by wspólnie ratować życie,
które wróg wydziera przemocą".

Walcząc dzielnie, także ginęli
Wszędzie mogiły się ścielą
Ginąć ci chłopcy nie chcieli
Lecz szli za biel z czerwienią

By teraz mogła łopotać
Spokojnie nad głową człowieka
By nie musiał się już kłopotać
Czy czasem go kula nie czeka?

Grono członków naszej spółdzielni powiększa się dzisiaj o pierwszego żołnierza. Dzięki temu reprezentacja zawodowa w PSP staje się coraz szersza. Sierżant podchorąży **Andrzej Sabała** jest słuchaczem **Wyższej Szkoły Oficerskiej Służb Kwatermistrzowskich w Poznaniu.**

Doceniając **„swego rodzaju próbę żołnierskiej odwagi"**, którą — wedle słów chor. Sabały — stało się jego zgłoszenie w szeregi PSP, przyjmujemy go do grona członków

PREZES

WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI — WIELKA PCHŁA — MINI POWIEŚĆ O!?

Odcinek 4

Zza obitych tapicerką dzwierzy dochodziły stłumione, tajemnicze dźwięki: fiuut — ćmok, fiuut — ćmok. To dyrektor siorbał herbatę, on lubił bardzo gorącą, a w stomatologicznej przychodni rejonowej panował któryś już z rzędu rok wyjątkowej płynności kadr. Ledwie się poszło z ćmiącą trójką, ledwie ją blondynka spod okna otworzyła i powiedziała: — A teraz proszę nie płukać, nie jeść i przyjść za tydzień — już zamiast blondynki zjawiła się srebrnoróżowa i stukała w czwórkę.

Po dwóch tygodniach nowa pani ubolewała nad błędami poprzedniczek — co one tu narobiły!... — po miesiącu wesoła czarnobrewa, pierwszy raz przy tym fotelu — proszę wypluć! — widziana, orzekła: to się nadaje tylko do usunięcia. Z ognikami śmiechu w oczach patrzyła z bliska w podniebienie pacjenta.

No, a z mostkiem nie taka łatwa rzecz, żeby się zmieścił w ramach urlopu. Stąd siorbanie z głębi gabinetu, przerywane falsetem naczelnika: — Ja bym mu nie dał! Ja bym mu że tak powiem nie dał!

— Fiuut — ćmok?
— Najwyżej warunkowo.
— Fiuut...
— To już piętnasty, że tak powiem, raz!
— ..... ćmok.
— Rozumiem.

Sekretarka dopilowała ostatni paznokieć. Naczelnik wyszedł z gabinetu przez drzwi. On zwykle wychodził przez drzwi. Wracając do siebie wstąpił po drodze do pomieszczenia z napisem: „Tylko do użytku służbowego". To ta herbata. Deska jak zwykle stała obok, oparta o ścianę, na której znów ktoś coś wyskrobał. Ktoś pisze, a kto inny wyskrobuje — jak to w życiu.

W parę minut później na biurku pani Celinki zadzwonił telefon tak nagle, że referentowi Pućkowi przy dostawionym obok stoliku spadły okulary na rozłożoną powieść. Kąt pochylenia jego głowy był widać taki, że przy lada drgnięciu musiały spaść. Nie myślcie jednak że referent Pućek drzemał. Drzemać można nad sprawozdaniem ale nie nad „Przeminęło z wiatrem" za całe pięćset złotych.

— Halo? Tak. Pro... W jakiej... Dobrze.

— Znów stary, co? — referent przecierał okulary żółto-zielonym krawatem. — To już drugi raz w tym tygodniu. Pani Celinko — no, no!...

Podając w przód to lewe biodro, to prawe — niby smagła tancerka z wyspy Bali, gdzie właśnie zakończono likwidację stu tysięcy kolejnych przeciwników politycznych — prześlizgiwała się dzielna urzędniczka pomiędzy stolikami i burkami wciśniętymi tu dodatkowo po ostatniej reorganizacji. Śpieszyła na głos naczelnika, nie przeczuwając, że

(dalszy ciąg nastąpi)